Nr. 52. Poznań, dnia 25 grudnia 1910 r. Rok XV

Abonament
wynosi kwartalnie
na poczcie . . 1,50
z odnoszeniem
do domu 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.



POKÓJ WAM.

W chwili kiedy pismo nasze wyjdzie z pod drukarskich tłoczni, przy wigilijnym stole zasiądą wszyscy co w Chrystusa wśród nas wierzą.

Zasiądą i przełamią się opłatkiem.

W pałacach i dworkach, w bogatych komnatach i na poddaszach składać sobie będą życzenia, wznosząc serca ku górze, że nadszedł dzień radości i wesela.

Niewidzialni, a przecież stojący ciągle przy was, złączeni z wami nićmi jednej wiary, miłości i nadziei, ożywieni jedną myślą, dążący ku jednym celom, wstępujemy w ciche wasze progi, ze słowami: pokój wam.

Pokój wam wszystkim.

Bo pokoju wszystkim dziś potrzeba, bo pokój jest wszystkich szczęściem.

„Błogosławieni pokój czyniący, bo synami Bożymi nazwani będą“, — mówi święty Mateusz.

„Bóg nie jest Bogiem rozterki, ale pokoju; pokój miejcie, a Pan zgody i miłości będzie z wami“, dodaje Święty Paweł.

A wielki nasz wieszcz, którego rocznicę narodzin dziś obchodzimy, czyż pokoju dla siebie i dla swoich nie pragnął nadewszystko?

*„Pokój jest przyszłem dobrem, przyszłem szczęściem mojem
Nie chciałbym Boga, gdyby Bóg nie był pokojem“,* —

powiada on natchnionemi słowy, ucząc swój naród, że w pokoju odnajdzie on odkupienie swoich win, odrodzenia swojego siłę.

Bo pokój jest miłością, bo pokój jest pracą, bo pokój jest wiarą...

W nim i przez niego wszystko rozkwit osiąga, unosi czoło pogody i szczęścia ku niebu.

Kiedy huragan rozszaleje w powietrzu, zaćmi się chwilowo słońce, umożliwiające wszystkiemu na ziemi byt, czyż nie zmiata on z jej powierzchni plonu pracy człowieczej, nie łamie i nie wali na ziemię prastarych dębów?

Kiedy piekło walki rozżarzy się w sercu, czyż w niem nie głuszy tchnienia Bożego, nie zrywa strun, co nas łączą z Przedwiecznym?

Więc nad pokój niema większego dobra.

Ani czystszego.

Gdy siadacie zatem do stołów wigilijnych, rozżarzcie płomień pokoju w sercach waszych; miłością, która jest jasnym i wonnym jego kwiatem, ogarnijcie jak najszersze koła.

Rodzinę, ojczyznę, ludzkość całą.

A ogarnąwszy, wierzcie, że zapanuje on kiedyś w świecie, że odrodzi ten zalany dziś potokami nienawiści świat, że skieruje go na lepsze drogi.

Bo nie konał darmo na krzyżu Ten, którego narodziny nadeszły...

Bo nie rzucał w bezdenną przepaść ziarn prawd szczytnych, za które koroną z ciernia ubrano jego skroń...

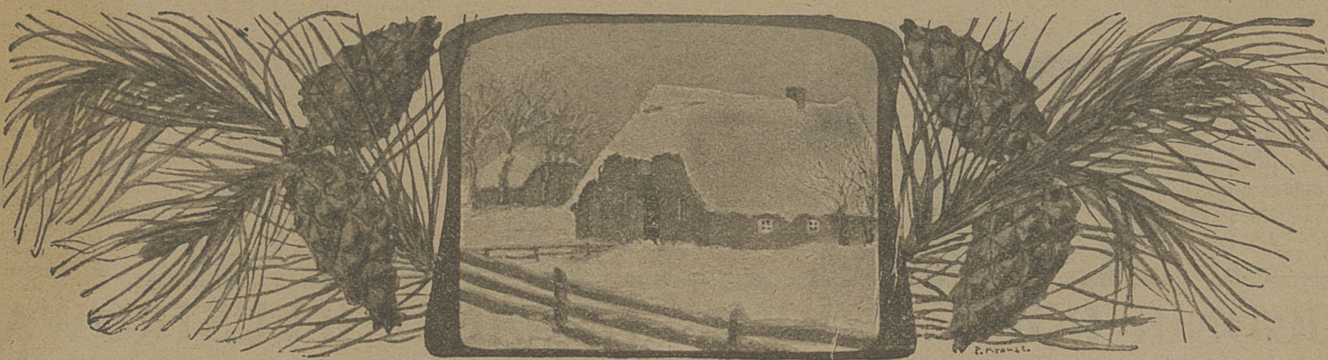
Bo nie prowadził milionów za sobą, by je wwieść w otchłań szatańskich mocy...

Więc Pokój Wam...

Te życzenia składamy z głębi serca Przyjaciołom, Czytelnikom i Współpracownikom naszym, a łamiąc się z nimi w myśli wigilijnym opłatkiem, wołamy:

Dosiego Roku!

REDAKCYA.



IDZMY ZA GWIAZDĄ.

Szalał świat pogański w dzikich orgiach użycia — próżno szukając ulgi w zatrutej u źródeł filozofii greckiej.

Pod mieczem Rzymu przemocą połączone narody szukały zapomnienia hańby, w rozpasaniu namiętności — a potężny Rzymianin, który posiadł tajemnicę władzy, podżegał w nich żądzę zysku i rozkoszy — upodleniem wrogów utrzymując zwalczane ludy w poddaństwie łatwiej, niż przez swe wyćwiczone wojenne kohorty.

Wśród umysłów szlachetniejszych jednak panowała rozpacz — wśród dusz wybranych — odczuwać się dawał niepokój i oczekiwanie.

Aż wreszcie zapowiadany przez proroków Judei, przeczuwany przez druidów celtyckich, opiewany przez jasnowidzów i zwiastowany przez Sybille przyszedł — On.

I światło rozbłysło na ziemi. —

Boża zjawiła się moc, nie ta, co mieczem wytraca ani ogniem siarczystym miasta pali,lecz ta potęga Ducha, wiekuista, przed którą gnie się wszelka ludzka władza, a wobec której i śmierć jest bezsilną — blask wyświeca tylko — i podnosi piękno.

Lew z pokolenia Judy — Gwiazda z rodu Jakóba — jak Go zwie obrazowym językiem Pismo święte — Gwiazda, co w najciemniejszej nocy prowadzi drogą prostą — Gwiazda, co wśród zamętu pojęć wszelkich, promień budzi nadziei, Gwiazda, co w rozbiciu wszystkich uczuć, wlewa w serce zrozpaczone otuchę i miłość.

* * *

W ubogiej na świat przyszedł On stajence — a z królewskiego pochodził rodu, jakby chciał nieść dobrą nowinę tym najwięcej pokrzywdzonym, a także wskazać drogę do prawdy możnym i troską doczesną zbyt obciążonym.

I w ową noc pamiętną... w Noc wielkiego cudu... do chórów anielskich wmieszała się pieśń *Ludu,* tych bezdomnych pastuszków betleemskich, tych prostych sercem i czystym duchem... którzy Prawdę zoczyli — najpierwsi.

A za nimi dopiero wieków tęsknotą wiedzeni, przybyli Wieszcze Wschodu, trzej mędrcy — trzej królowie i niosąc w darze — mirę, kadzidło i złoto — pokłon oddali korny *„Bogu nieznanemu.“*

* * *

Minął lat tysiąc, drugi zbliża się do końca — od chwili, gdy Gwiazda krwi purpurą rozbłysła na Golgocie i świeci na błękitach, prowadząc ludy w przyszłość.



Narodziny Chrystusa Pana
według słynnego obrazu Boticellego.

Idźmy dziś za Nią wszyscy... którzy dążymy naprzód, wszyscy w poszukiwaniu Prawdy — w tęsknocie za Wieczystem...

Idź za Gwiazdą tułaczu bezdomny, w pocie czoła, na obcych niwach wędrujący...

Idź za Gwiazdą robotniku strudzony, którego jarzmo pracy dziennej do ziemi tłoczy...

Idź za Gwiazdą miłości, kobieto ogromem nędzy ludzkiej przerażona.

Idź Matko, synów i córki prowadząc za ręce...

Idź młodzieńcze i dziewico pierwszych uczuć, ofiarując kwiaty.

Idź pieśniarzu i poeto, zachwyć z jej promieni blasku i drogą mleczną prowadź za Nią tłumy.

Idź Wodzu ludów — krocz śmiało, dąż wytrwale, choćbyś mękę ujrzał w dali — „Pod tym znakiem zwyciężysz...“

Idźmy za Gwiazdą wszyscy... króle i pastuszki — mędrcy i prostaczkowie — starcy i młodzieńcy... bo ona jedna wśród burz nie zgaśnie, wśród zamętu nie zboczy z drogi, wśród wieków kolei przyświeca pokoleniom.

* * *

Śnieg tumanami rzuca w oczy... mróz na szybach okien wzorzyste rzeźbi kwiaty...

W powietrzu kryształowem drży radosny dźwięk dzwonów...

A myśl Polaka wygnańca płynie w dal do ojczyzny... dziecinne wspomina lata... Pasterkę w mrokach kościoła wiejskiego, wilię w rodziny spożywaną gronie — i te kolendy, co się w niebo niosły, skrzydlate, nieujętą, przeczystą miłością.

Na wyiskrzonem niebie złote gwiazdy świecą — strop błękitny ogarnia wielkie miasto, drżące w tym dniu, świątecznem weselem, gorączką radosną, jak nigdy podniecone... lecz polskie oczy w głąb duszy się zwracają — szukają gwiazdy polskiej na widnokręgu świata... tej zwiastunki dni lepszych, tej zapowiedzi świtu, do którego tęsknota drży w sercu Polaka.

* * *

Bo wszystko, co u nas lepszego w narodzie, nigdy w to odrodzenie Polski nie zwątpiło... i Gwiazda ta nadziei prowadzi nas przez życie, świeci w kaźniach sybirskich i kopalniach Pennsylwanii, wiedzie zastępy naszych organizacyj i do czynu zachęca, w przeciwnościach uczy męstwa.

Prostaczki w nią wpatrzeni, idą — czekając chwili, ten lud polski z Mazowsza, z Śląska, Kujaw, i niosą Polsce

w darze znój ciężki — krwawą pracę — i dziecinnych łez kruże, w wrogiej wyciśnięte tłoczni.

Idą tamci z Podlasia, jeszcze sini od knutów, i lud miejski — strudzony męką — osłabły głodem.

Wszyscy spieszą — ofiary czynią — ze snu się budzą, łaknąc dobrej nowiny, słuch wytężając w przyszłość.

Lud nie da się zbić z tropu — mroku nie zlęknie się, ni burzy, dążąc za Gwiazdą zdepcze wszelkie przeszkody — wytrwał tyle już męki, to wytrwa jeszcze więcej, aż zabrzmi nareszcie pieśń radosna, Kolenda Najwyższemu „Jeszcze nie zginęła.“

Dziś już najcięższe przetrwaliśmy chwile, już najtrudniejsze przetrzymaliśmy walki, więc ramię do ramienia, postępujmy razem wytrwale za Gwiazdą zdążając w zgodzie i miłości do wspólnego celu...

M. Ilnicka.

Cudowna noc.

Jest noc jedna cudowna, która zawsze, rok roku
Niebo ziemi otwiera, i w jasności obłoku
Bóg z niebiosów zstępuje, schodzi w łono ludzkości,
Jest tu z nami i żyje, i w pośrodku nas gości.
Chrystus! Chrystus się rodzi! milionowy głos woła,
Serca w piersi nam biją, promienieją nam czoła,
Czystym chlebem bez kwasu ludzie z sobą się łamią,
Dłoń się z dłonią spotyka a uczucia nie kłamią,
Gdyż jest w piersi każdego to najwyższe wesele,
Że Bóg mieszka w ludzkości, jak w ogromnym kościele.
Aniołowie uśpionym wieść przynoszą o cudzie,
I cud oto się spełnia — bo już wszyscy ci ludzie,
Co na niebios błękicie gwiazdę Bożą ujrzeli,
Pozostaną na zawsze myślą ową weseli,
Że od nieba do ziemi stoi cudu drabina.
Pod stopami się Boga pierwszy szczebel zaczyna,
A o ziemi grunt twardy koniec oparł się drugi,
Jako stopnie ogniste ułożyły się smugi.
Duchy schodzą i wchodzą po tych szczeblach promieni;
Gdy dnia pracą codzienną ludzie ciężko zmęczeni,
Na kamienia głaz twardy senne głowy położą,
Wiedzą przecież, że w górze mają glorye gdzieś Bożą,
Więc wśród ciężkich snu marzeń czuwa wiara o Bogu,
Dłoń się chwyta promieni u niebieskich wrót progu,
Aż tak śpiących na głazie tknie się skrzydło anioła:
Chrystus! Chrystus się rodzi!... chór cudowny zawoła.



Stajenka Betleemska według obrazu Jakóba Aranci w kościele św. Jerzego w Padwie.

Przełammy się opłatkiem.

(Nadesłała czytelniczka „Pracy“ z Ameryki).

Wieczór wigilijny nadchodzi — wspomnienia suną rojem... Marzą się dawno ubiegłe lata, szereg kochanych twarzy... pola i łąki dalekie, ośnieżonych dachów biel, świecące ściany chałup i dworów, dzwony północne, zwołujące do świątyń progów. — Marzy się... Ziemia daleka, wizyą uroczą, a smutną przed oczyma staje — dochodzi nas drogi jej szept.

Słuchamy... W ciszy kadzideł, w dźwięku świątecznych organów, w skupieniu uroczystem dusz, staje ta wizya biała przeszłości, co odeszła, i świtu dnia, co idzie.

„Uciszcie się“ — mówi — i wyciąga ku nam biały opłatek — symbol jedności duchowej, symbol wiekowy, świąteczny dziadów naszych i praojców. I cisza wstępuje w zgiełkliwy jarmark naszych dusz, milkną troski życiowe, szumne zabiegi chwili, małość ich, powszedniość — a w uroczystej głębi serc rozżarza się naraz i rozbłyska prawda życia istotna, treść jego jedyna. Spójrzmy — rozpatrzmy się... tajemnicza kolumna życia, mijana co rok, wzywa, zachęca.

Rzuceni wśród obcych daleko, zapytać siebie, wśród żrącej tęsknoty i rozterki, możemy — skąd i dokąd idziemy? Co nas prowadzi? Przed nami wizya promienna — duch Polski dalekiej... Idzie ku nam od Niej dech rzeczy minionych, rozbrzmiewa jakby tajemnicza, bohaterska pieśń... W oczarowaniu jej widzimy szereg mar przepięknych, co suną na nas w pochodzie dziejowym — to w broń i stal zakuci rycerze, to w myśl płomienną zdobni myśliciele, to wielcy — czynem świetni bohaterzy, to porywający mocą uczucia i słowa wieszcze narodu... I spływa na nas ich życia wspaniała wymowa i dźwięczy ta wielka, światowa pieśń. Co w pieśni tej nutą przewodnią? Co lśni w niej i złoci się przez wieki — co nas z niej oskrzydla, hartuje i krzepi? W pieśni tej wykwitłej z życia i czynów ubiegłych epok, wybija się nuta jedna naczelna — poryw ducha, umiłowanie idei — piękna... Ci wielcy, silni chowali w duszy swej płomień żarzący, żywili Znicz potężny miłości, zapału. Nie zliczyć piękna i bohaterstwa, które nam po sobie w spuściźnie zostawili. W porywie ofiary głowy swe nieśli na białe równiny Sybiru, do ciemnych jego kopalń, zakratowanych podziemi. A czoła ich jasne były, pogodne i dumne — palił się na nich żar ducha, w którego ogniach topniało i szczęście osobiste, i życia młodego uroki, i słodycz bytu, użycia, wygody... Topniało wszystko wzgardzone — a nad tą ofiarą bezmierną wznosiło się szczytne, słoneczne piękno ducha. Taką jest przeszłość — z której idziemy... Duch Polski dziejowej — Król-Duch narodu, co zastępy te oskrzydlał, dźwigał, do bohaterstwa parł jednostki, chwałą opromieniał dzieje, wiódł przez wieki i kierował. Z prze-

szłości tej idziemy, co legła w wielkim życia rozstroju, siły zła, co nań spadła, wśród czyhających mocy drapieżnych, co wnet ją przywaliły radośnie i zdeptały.

Lecz Duch narodu żyć nie przestał... Był to sen długi, letargiczny, — nie śmierć. Pod stopami najeźdźców dźwi-

marzyła dusza narodu cudną, tęczową baśń... Od pól życia odsunięta, obezwładniona, budowała i snuła w świecie fantazyi, ułudy — i wstała poezya wspaniała narodu. Kłębi się w niej męka uwięzionego ducha, szarpią bóle jego tragiczne, zawrotne porywy i bunty. I nad tym bólem milionów, jak świat purpu-



Narodziny Chrystusa Pana według słynnego obrazu Corregia, w pałacu „delgi Uffizi" w Florencyi.

gała się zamarła moc, wolno wstawało przywalone życie. I dziś — dźwignięty już z pod gruzów Duch narodu — potężny i wolny — znów przed nami stoi i wzywa. On widzi, jak ongi, swą gwiazdę przewodnią, rozumie naczelną nutę swych dziejów, wznosi sztandar złamany, obwołuje służbę podjętą — swe posłannictwo dziejowe.

A posłannictwo to różne, odmienne w dziale licznych prac i dążeń narodów. Słoneczna Hellada służyła niegdyś pięknu zmysłowemu — plastyce, surowy Rzym zostawił nam kult prawa, świetna Francya estetyce wolności służby swe niosła, Niemcy ścisłą naukę obrały i wiedzę, dzika Rosya na czele dziejów swych postawiła rozbój i gwałt, wolnej Ameryki dzieje niedługie, chylą się przed potęgą użycia — dolara.

Wśród tej odmienności dziejowych dróg — jasno i dumnie dźwiga się sztandar historyczny Polski — służba ducha, Król-Duch narodu. Lud marzycieli, rycerzy, piewców wolności innemi, niż inni kroczył drogami. W historyi jego niema gwałtów — podbijał duchem, na walki i boje szedł w porywie ducha, duchowem pięknem swem imponował, przyciągał i wraz z upadkiem tego piękna i mocy — sam padł i zamarł.

Lecz w mroku snu letargicznego

rowy, krwawi się urok i czar wielkiej pieśni, uderza dzwon spiżowy ewangelii szczytnej narodu — Ksiąg Pielgrzymstwa...

Krzepieni tą pieśnią snu życia — wstaliśmy... I oto iści się na nas głęboka prawda bytu — tryumf życia przez ducha. Mocni tylko tą siłą, nią zbrojni jedynie, w nią wierzący i pewni przyszłości — prawdę tę stawiamy przed oczy całego świata i w imię jej sprowadzamy konieczność tryumfu sprawiedliwości i prawa. W ten sposób w porządek świata, znieprawiony przemocą i gwałtem, wprowadzamy czynnik nowy — ducha. Oto — dokąd idziemy...

Gromadzi nas dziedzictwo w krew włożone, posłannictwo wieków, misya obowięzująca, która pracy i bytu naszego niezłomnie żąda. Świadomi dziś przeznaczeń narodu i racyi jego istnienia wśród świata — błądzić już nie powinniśmy — lecz zapatrzeni w piękno słońca, co nam świeci — twardą stopą po ziemi iść, walczyć, zdobywać — a te zdobycze, dorobek i życia prace składać pod fundamenta budowy, co się nad nami wznieść musi — budowy przyszłości narodu. Zaświecić nad nią powinna tęczowa kopuła ducha, ale oparta na fundamentach z granitu.

Idźmy więc, zdobywajmy zwycięsko dobra ziemi, bez nich nam nie przesłoni nigdy zwodniczy blask ich — wielkiego celu, co jest ponad nami. W pogoni za kęsem chleba, za zbytkiem, użyciem, dostatkiem pamiętajmy wciąż i zawsze, że przysięgłą służbą naszą jest — zarówno jednostki, jak narodu — służba ducha.

Przełammy się opłatkiem białym z przeszłością, co odeszła — i z przyszłością, co idzie. Służby jej czyste weźmy...

I niech posłannictwo dziejowe narodu wysoko podnosi nam czoła, oskrzydla ociężałe porywy i każe czystą służbę ducha wnieść nietylko w życie własne, w życie narodu, ale i blask jego tchnąć w zmateryalizowaną, choć tak piękną i bogatą ziemię, co nas przyjęła.

Polski opłatek.

Z opłatkiem do Was idę, bracia moi,
Po wszystkie krańce i po wszystkie brzegi,
I tam, gdzie słońce złotem ziemię stroi,
I gdzie noc ciemną białe plamią śniegi,
Z opłatkiem do Was idę, bracia moi...

Pod szarą strzechę nisko schylam głowę,
Gdzie życie pracy szarą snuje przędzę,
Idę pomiędzy opłotki wioskowe —
Szukać Cię, ścisnąć mój bracie w siermiędze!
Niech Bóg Ci serce i ręce da zdrowe!...

Pod cichy dworek, co jak gołąb biały
Tuli się w puchu zimowej osłony,
Niosę kolendę pełną Bożej chwały
Na starą nutę, na serdeczne tony:
Niech Bóg Wam ojców dom zachowa cały!...

Do Ciebie idę, spracowany bracie,
Coś uznojone ledwie otarł skronie —
Z opłatkiem w Twoim dzielić się warsztacie
I szorstkie z trudu uścisnąć Ci dłonie,
Pokój Wam, którzy tylko troskę znacie!...

Pokój Wam wszystkim, ubodzy i mali,
Co się o chleba suchy kęs trudzicie!
Anioł, co Bożą dziś gwiazdkę rozpali
Niech smugę światła rzuci w Wasze życie,
I żmudnej drogi kres ukaże w dali!...

Z opłatkiem do Was idę, bracia moi,
Po wszystkie krańce i po wszystkie brzegi,
I tam, gdzie słońce złotem ziemię stroi,
I gdzie noc ciemną białe plamią śniegi,
Z opłatkiem do Was idę, bracia moi...

Wigilia za oceanem.

Emigracya polska „za chlebem“ w różne strony zapędziła chłopa i tam gdzie dobrze i tam gdzie źle. O tych, którym jest dobrze, nie potrzeba nawet wspominać, bo oni sami sobie radzą, z tymi jednak, którym źle jest, powinniśmy współczuć i dla tych zawsze mieć serce braterskie.

W tę noc wigilijną łączy się cała emigracya polska w ciężkiem, głębokiem westchnieniu: „Może Bóg da lepiej...“ I zaraz z pomiędzy łez tryska uśmiech radosny nadziei...

A takich, którym jest źle na emigracyi, którym ten chleb łzy niesie jedynie i gorycz, jest tylu garstkami rozsianych tu i owdzie...

Jedną z takich garstek widzimy oto, jak zgromadzona dookoła jednego z towarzyszów, słucha w skupieniu słów z nabożeństwem czytanych z gęsto zapisanej karty.

Zapewne list jakiś otrzymał nasz Waluś i jak opłatkiem dzieli się treścią jego.

Posłuchajmy i my chwilę...

„...Smutno też nam tu bez was i tak jakosi nie swojo, że ino. A dyć byście się zlitowali nad starym ojczyskiem, co was chciał jeszcze przed śmiercią zobaczyć, uradować się. Dzisiaj ci biedna chudzina ledwo chodzi, a cięgiem wzdycha: żeby tak Waluś przyjechał, zarazbym odżył. Już tak myślę i te święta Paniezusowego Narodzenia zejdą nam tak smętnie i nijakiego nie masz dla nas pocieszenia. Ale też wy tam nie zapomnijcie opłatkiem się podzielić, którego wam tu kawałek posyłam. Tak ci robili ojce nasze, tak i my czyńmy... Łzy mi już ciurkiem lecą, jak se tak o was pomyślę... Pewnie że ten mój list przeczytasz, choć w nim nic niema, jeno same gryzmoły, ale i tak święty jest, bo ci go matka pisze i zaklina: „Walku najdroższy wracaj do nas, wracajże prędko, żeby też nasze stare oczy jeszcze cię ujrzały, zanim je Bóg zawrze na wieki“...

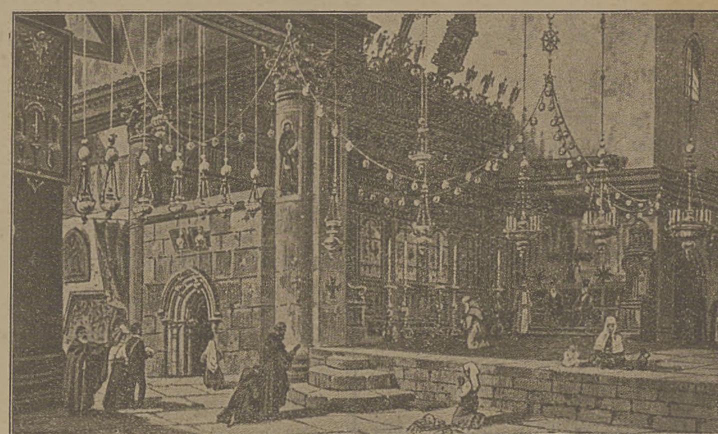
Walek skończywszy czytanie, ucałował list i schował w zanadrze. Rękawem otarł łzy, które mu jedna po drugiej, duże, srebrzyste, padały na ziemię. Reszta również była wzruszoną tem wołaniem z za oceanu, z daleka, hen aż z Polski... I stali tak wpatrzeni w horyzont, wyobrażając sobie, że tuż za nim są ich ojczyste, stare chaty, że ot, teraz będzie wigilia huczna przy stole, że wesoło będą kolendować „Jedynemu“, a potem pójdą do dworu, na plebanię z kolendą, z dobrem słowem, że ich tam przyjmą mile i radośnie, że potem pójdą na pasterkę...

Marzenia... Przecież to za oceanem!...

— Waluś — rzekł jeden z towarzyszów — a dyć jesteśmy w Ameryce, a mnie się tak widziało, jakbyśmy doma byli...

— Ech, chciałbyś — przeciągając się ze smutkiem przerwał Walek. — Nie widzisz tu naszych chałup. Chodźmy bracia, podzielimy się opłatkiem.

Weszli do schludnego domku, do izby, gdzie znać było, że chciano naśladować obrzęd według tego, jaki był w ojczyźnie obchodzony. Stół był pokryty sianem... Brak tylko choinek, bo tych w okolicy nie było. Dzielili się opłatkiem... Każdy ułamał kawałek i odszedłszy na bok, wybuchnął rwącym płaczem tak, że po chwili miasto radości słychać było łkanie tylko...



Wnętrze kościoła Bożego Narodzenia w Betleem.

Uspokoiwszy się nieco, zasiedli do stołu i przygotowane potrawy w milczeniu jedli.

— Hej, jak to tam we wsi naszej— przerwał Walek milczenie — musi być wesoło. Niedługo będzie pasterka pewnie, a cóż my tu zrobimy?

— A cóż, przecieżeśmy kolend nie zapomnieli, zaśpiewajmy chórem...

— Widzicie, bylibyśmy zapomnieli. Tak to już człowiek pamięć traci. Chodźmy na pole, zaśpiewamy se pod niebem.

Wyszli. Niebo iskrzyło się gwiazdami, księżyc wśród nich wyglądał jak pasterz wśród trzody, tak się wszystkie gwiazdy do nich garnęły. Stanęli wszyscy w koło i chórem zaczęli:

„Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi...“

A głos leciał daleko, rozchodził się po nizinie, odbijał się o lasy, wracał dalekiem echem niby wtór, kołysał się nad nimi i im głos śpiewających potężniał, im bardziej radosne z pełnych piersi rwały się akordy, tem silniejszy odpowiadał im wtór, niby śpiew hen z oddali, z Polski... Skończyli jedną pieśń, zaczęli:

„Mędrcy świata, monarchowie...“

Oj dawno to było, bardzo dawno... Do stajenki, w której się Chrystus urodził spieszyli trzej królowie. Szli długo, bardzo długo, wiodła ich gwiazda... Jakżebyśmy chętnie za tą gwiazdą teraz wrócili do ojczyzny, kończył każdy z śpiewających w duszy...

Potem śpiewali jeszcze „W żłobie leży“, „Cztery lata wierniem służył“ itd., wszystko, co umieli, co pamiętali. A zawsze w każdej z tych pieśni dźwię-



Kościół Bożego Narodzenia w Betleem.

czała jakaś struna obca im, struna smutku, tęsknoty za swym krajem, wszędzie poprzez radość łzy się przebijały...

Zamilkli. Zasłuchali się, jakby w jakieś dzwonów bicie, co zalatywało z oddali... Gdzieżtam, to lasu szum, wiatr tylko łopoce drzewami, stary dziewiczy las.

— U nas takich niema — rzekł Walek.

Drgnęli wszyscy na ten głos, ale nikt nie odpowiedział... Zupełna cisza była w powietrzu, słychać było tylko przyspieszony oddech i bicie serc...

Wtem Walek runął na ziemię na oba kolana i zaintonował:

„Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi“.

Pieśń podjęli wszyscy i gorąca z piersi tęskniących za czemś swojem, tak swojem, tak kochanem, co w tej chwili w duszach ich obrazem jeno było, popłynęła do stóp

„....ukochanej Matki
U stóp której serce otwarte każdemu,
A osobliwie nędzą strapionemu“.

Wyśpiewały się pieśni; umilkli i znowu przez chwilę łowili uszyma każdy szelest drzew, każdy powiew wiatru, chwilę śnili o swoich.

— Chodźmy już do chaty, pogawędzimy jeszcze chwilę, przerwał Walek. — Taka to nasza wigilia za oceanem.

Weszli do chaty, usiedli dookoła stołu i zaczęli gwarzyć wesoło, czyniąc różne przypuszczenia; jeden wypytywał się drugiego o list jaki, paru miało przy sobie, więc zaczęli czytać; niektórym zachciało się jeść, więc powyciągali placki, które sami piekli i łamiąc się niemi jedli, pijąc herbatę ciepłą dla rozgrzania się, bo już zaczęło się zimno robić. Zapalili w piecu i patrzyli zadumani na trzaskające kloce drzewa, przypominając sobie znowu rodzicielską chatę.

Na polu tymczasem wicher zaczął łopotać drzewami, ale tak jakoś nie po naszemu, tak dziko, jak tu u nas nigdy nie płacze. Szarpał tak dusze tej biednej osamotnionej garstki, tak im tę obcość ich tutaj wypominał, że przykro było słuchać...

Pożegnali się wreszcie i rozeszli każdy do swej izby. Długo jednak jeszcze zasnąć nie mogli, długo marzyli o swych najbliższych, niejeden zapłakał, niejeden żałował, że dla chleba opuścił ziemię ojczystą, sądząc, że tu będzie go więcej i w lepszym gatunku, a tymczasem nie zastał tu wcale chleba, a ten, co sam robił, gorżki był bardzo i słowa modlitwy o chleb powszedni łączyły się z cichem westchnieniem:

— „Chleba powszedniego daj nam dzisiaj — ale tego naszego z polskiej ziemi!...“

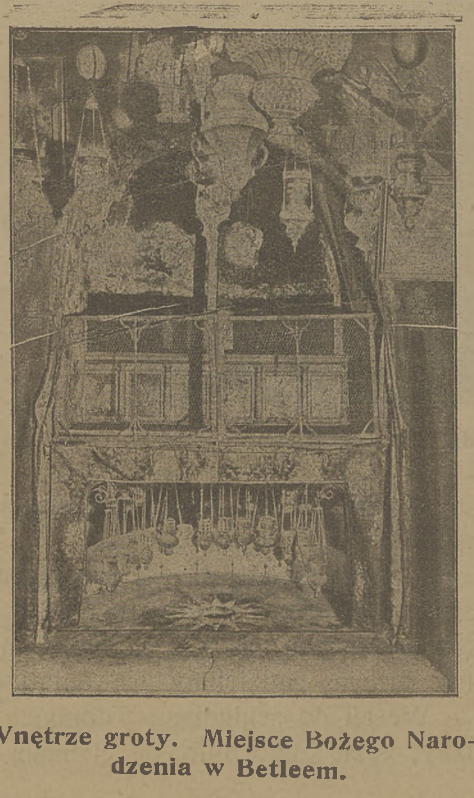
Jaskinia w Betleem,

w której się narodził Jezus Chrystus.

Wiarogodnemi istotnie są twierdzenia pisarzy Kościoła św. z pierwszych wieków chrześciańśtwa, które mówią, że ową stajenką, w której się Jezus Chrystus narodził, była grota, czyli jaskinia, w pobliżu miasteczka położona. W obszerne takie jaskinie obfitowała ziemia święta; w czasie zimna lub niepogody wpędzano tu trzody i wtedy stanowiły one istotną stajenkę. Betleem leżało na górze i było otoczone urodzajnemi pagórkami i dolinami. Było tam dużo pastuszków, strzegących trzód swych w nocy. Klimat tamtejszy jest i w grudniu, kiedy to właśnie, według najdawniejszej tradycyi Chrystus się narodził, tak łagodny, że trzody mogły być na polu we dnie i w nocy.

W takiej więc jaskini, niedaleko od Betleem, która służy pastuszkom i bydłu za schronienie, przyszedł Jezus Chrystus na świat o północy i położony został w żłóbku przez matkę swoją Maryę — jak to tkliwie wyrażają owe śliczne kolędy nasze np.:

Narodził się Jezus w stajni ubogiej,
Uniżył Majestat, chociaż Pan srogi —
Będąc Synem Najwyższego,
Nie miał miejsca godniejszego,
Swojej osobie.



Wnętrze groty. Miejsce Bożego Narodzenia w Betleem.

Jaskinię tę, w której się Zbawiciel narodził, otaczano zawsze szczególniejszą czcią i pobożnem poszanowaniem. Nawet poganie odwiedzali to miejsce z należytym szacunkiem i mawiali:

— Oto miejsce, gdzie Bogu chrześcian podobało się narodzić!

Origenes, żyjący w drugim wieku po Chrystusie, był osobiście w Betleem i tak się wyraża w dziele swem przeciw Celsusowi:

— Pokazują w Betleem jaskinię, w której się Pan Jezus narodził; a w niej żłóbek, gdzie leżał w pieluszkach.

Wiadomo to powszechnie nawet i tym, którzy są nie naszej wiary, mówią oni:

— W tej jaskini narodził się Jezus, czczony i uwielbiony od chrześcian.

Inny znów pisarz kościelny, Euzebiusz, który także był w Betleem, opowiada w biografii cesarza Konstantyna, że Helena święta, matka tego pierwszego chrześciańskiego cesarza, kazała wystawić wspaniały kościół nad tą świętą grotą.

Cesarz Adryan wystawił wprawdzie z nienawiści ku chrześcianom świątynię pogańską nad miejscem urodzenia Pańskiego — ale Helena kazała ją zburzyć do szczętu, przyozdobiła pięknie jaskinię i wzniosła nad nią ów wspaniały kościół. Kościół ten upiększał cesarz Justynian, a po nim i inni wierni chrześcianie, tak, że i dzisiaj należy jeszcze do najpiękniejszych i najwspanialszych kościołów w ziemi świętej. Jestto rozległy i obszerny budynek, spoczywający na czterech rzędach słupów z czerwonego marmuru — każdy rząd składa się z jedenastu słupów; ściany i sklepienia są złocone i pokryte pięknem, kunsztownem malowaniem. Naokoło tego kościoła wybudowano różnemi czasy wiele klasztorów — dziś jeszcze wznoszą się trzy, jeden przy drugim.

Grota Bożego narodzenia jest 40 stóp głęboką, a 10 stóp szeroką, z bardzo wązkim otworem służącym do wejścia. Im dalej w głąb, tem bardziej zwęża się grota. By podeprzeć sklepienie, umieszczono w niej trzy porfirowe słupy. W samym środku znajduje się rodzaj framugi, przedzielonej ołtarzem, gdzie się odprawia Msza święta; ołtarz ten jest oświetlony 35 lampami, z których najpiękniejsza jest darem Ludwika XIII, króla Francyi. W tem zagłębieniu miała Marya według tradycyi porodzić Syna Bożego. Miejsce to jest pokryte marmurem, który wyłożony jest jaspisem i otoczony srebrną obwódką w kształcie słońca. W koło też znajduje się następujący napis: „Hic, de Virgine

Maria Jesus Christus natus est“. „Tu narodził się Jezus Chrystus z Maryi Dziewicy.“

Miejscowość ta leży na południe od miasta Betleem, niespełna 200 kroków od niego.



Paula Wężyk.

Na pasterce.

Jakby cienie ludzie suną,
Z nieb błękitnych Gwiazdka mruga
I lśni blask jej jasną łuną,
Jakby tęczy złota smuga.

Rozdzwoniły się już dzwony,
Serca dzwonią — krew w nich pała
I tak zgodnie wszystkie tony
Wtórzą: „Chwała Panu, chwała!“

Już w kościołku lśnią okienka,
Zda się słonko tam się żarzy,
Rośnie, rośnie wciąż piosenka,
W niebo płynie od ołtarzy:

„Chwała Panu, co w tej dobie,
Na świat zeszedł między ludzi,
Co w ubogim zrodzon żłobie,
Do wielkich czynów się budzi.“

„Chwała Bogu i Panience,
Co nam święte Dziecię dała,
Że Je złożyła w stajence
Chwała Jej, o stokroć chwała!“

„Nikt nie wzgardzi biednym stanem,
Gdy dziś tak jest wywyższony,
Skłońmy się przed Zbawcą —Panem,
Jezu bądź nam pochwalony!“

Pieśń tryumfu, pieśń zachwytu
Wznosi w górę myśl i serce,
Sięga kędyś niebios szczytu,
Gdy tak dzwoni na pasterce.

Święta w dawnej Polsce.

Kroniki nasze pełne są opisów świadczących, z jaką wspaniałością obchodzili Polacy święta Bożego Narodzenia. Pszenne kołacze, którym tradycya zapewniła jedno z pierwszych miejsc na wigilijnym stole, otrzymały w Warszawie niemieckie miano strucli, w królewskim bowiem grodzie głównie Niemiaszkowie trudnili się wypiekaniem bułek i chleba. Wysadzali się też oni na nielada majstersztyki (sztuki). Czytamy n. p. w notatkach Kaspra Janickiego z roku 1728:

„W wigilię Bożego Narodzenia mieliśmy tu wielkie widowisko. P. Wilhelm Straus, piekarz z ulicy Zakroczymskiej, upiekł struclę dla p. wójta Nowego Miasta na podarunek. Ale to była strucla nad struclami, jakiej jeszcze nie widziano w Warszawie! Niosło ją na ramionach czterech piekarczyków, chędogo odzianych. Ludu co nie miara cisnęło się dla widzenia tego widowiska. Gdy przyniesiono ową struclę do izby pana wójta, p. Wilhelm uczynił perorę z niemiecka do wszystkich piekarzy swojej nacyi, mieszkających w naszej Warszawie, poczem prosił pani wójciny, aby odkryła wierzch strucli. Co gdy uczyniła, z podziwem wszystkich wyskoczył z niej pięcioletni synek pana Wilhelma i zaczął śpiewać kolędę. Zaproszono wielu nas obywateli dla widzenia tego majstersztyku, który stać będzie u p. wójta przez całe święta, a potem odeśle się dla chorych u św. Ducha. Wielu panów senatorów i dygnitarzy, dowiedziawszy się o tej strucli, zamówiło u p. Wilhelma takoweż, da Bóg, na przyszłe święta, ale on się wymawia, bo to wielka zmuda i nie zawsze się uda“.

Senatorowie i dygnitarze mogli przecież bez strucli obyć się, bo mieli dosyć innych przysmaków do stawiania na stole. Oto np. spis potraw wigilii u hetmana Branickiego w drugiej połowie XVIII wieku, spisany dla potomności przez niewiadomego z nazwiska rymopisa:

„Rzadko smakowitsza czyja może być w świecie wilija, jak była przy gości tłoku wczoraj u nas, w Białymstoku, w domu przezacnego pana, kasztelana i hetmana.

„Chociaż była pora chłodna, przyjechali goście z Grodna, z Łomży, z Wilna, z Tykocina, z Bielska, z Brańska, z Drohiczyna, a nawet nasz pan łaskawy, pozapraszał i z Warszawy. Piętnaście stołów obsiedli, więc opowiem, co tam jedli:

„Początek sutej wilii był od litewskiej kucyi. Potem ogromne szczupaki, a jeden z nich był aż taki, że go dźwigały dwa chłopy, długi pół dwunastej stopy. Potem karpie zbyt szerokie, przy nich flondry jednookie, potem stynki w długim sosie, po nich z przyprawą łososie, potem specyały z lina, potem okonie nadziane i sędacze sprowadzane.

„Z marynaty danie drugie: węgorze na łokieć długie, rarytesy rozliczne, zamorskie i zagraniczne.

„W trzeciem daniu na przysmaki, ostrygi, żabki, ślimaki i wcale przysmaczek nowy na frykasy — ogon bobrowy. —

„Po krótkiej chwili spocznienia, przyszła z jesiotra pieczenia, obok niej rybiątek tłumy i przeogromne dwa sumy.

„Nowy serwis został dany: królewieckie marcepany (cukry), apelcyny (pomerańcze) z Carogrodu, daktyle z ogrodu, piramidy z cukru lane i bożki z ciasta udane. Pasztet — któżby się spodziewał, że w nim żywy karzeł spoczywał?

„Podniósł się człek malęteczki, a nastroiwszy skrzypeczki, dziękując gościom za względy, zagrał piosneczkę kolędy.

„Zaś zakończyły wilię azyatyckie bakalie i tak ogromne pierniki z pieca Imci dobrodziki, że jak pod kołdry jakiemi, można się przespać pod niemi“.

„Żłóbki“ na Boże Narodzenie.

Pięknym jest zwyczajem ustawianie na Boże Narodzenie żłóbków z Dzieciątkiem Jezus, św. Józefem, Najświętszą Maryą Panną, z Trzema Królami i pastuszkami, wyobrażając w ten widoczny sposób Narodzenie Chrystusa Pana w żłóbku Betleemskim. Ustawiamy żłóbki takie po domach w dzień wigilijny, gdy cała rodzina w szczerem uczuciu radości gromadzi się, aby obchodzić wielką uroczystość, ustawiamy żłóbki w kościołach, a nawet na scenie często amatorzy przedstawiają Narodzenie Chrystusa Pana w jasełkach.

Rzeczą jest zrozumiałą, że żłóbek właściwy, w którym Zbawiciel spoczy-

wał w Betleemie, od najdawniejszych czasów był przedmiotem szczególnej czci. W siódmym wieku żłóbek ten przeniesiono do Rzymu i ustawiono go w kościele Maria Major — później nazwanym kościołem Najświętszej Maryi Panny przy żłóbku — a przechowywano ów żłóbek w drogocennej srebrnej



Hołd pasterzy.

skrzyni. W święto Bożego Narodzenia wystawiano żłóbek ten na widok publiczny.

W niedługim czasie zwyczaj ten naśladowano w całych Włoszech, stamtąd przeszedł szybko do innych krajów, gdzie ustawiano żłóbki, mające przypominać nam tajemnicę Narodzenia Bożego, a przy nich ustawiano różne figury nieraz bardzo pięknie odrobione z drewa, gipsu lub wosku.

Mianowicie różne zgromadzenia zakonne wystawiały żłóbki i otaczały je przedziwnym blaskiem. Między innymi św. Franciszek z Assyżu, który według podania pierwszy zaprowadził żłóbki, kazał za pozwoleniem papieża Honoryusza III. w r. 1221 ustawić w lesie w Greccio wspaniały żłóbek. Przed nim odprawiono w nocy Bożego Narodzenia przy świetle rozlicznych, jarzących się świec mszę św. Potem pobożny i wielki organizator zakonów miał naukę o dobrej nowinie Narodzenia Chrystusa Pana, którą ongi Anioł Boży głosił pastuszkom na polach Betleemskich; św. Franciszek mówił o tem ze łzami wzruszenia w oczach.

Ponieważ uroczystości takie wielkie robiły na wszystkich wrażenie, nie było wkrótce prawie kościółka, w którymby mniej lub więcej bogaty nie znajdował się żłóbek, który pozostawiano do święta Trzech Króli, a często nawet aż do Matki Boskiej Gromnicznej.

Różnie żłóbki urządzano; czasem ustawiono otwartą stajenkę betleemską, czasem zaś grotę z kamieni mchem pokrytą, a w niej żłóbek z Dzieciątkiem, po bokach św. Józefa i Najśw. Maryę Pannę, układającą do snu Bożą Dziecinę, obok znów wół i osieł i owieczki, dalej trzej Królowie, biedni pastuszkowie i wiele innych osób.

Podobne piękne bardzo wyobrażenia żłóbków z ubiegłych czasów znajdują się dziś jeszcze w rozmaitych muzeach Rzymu, Neapolu i innych miast.

W późniejszych czasach ludzie zaczęli ustawiać żłóbki w domach prywatnych.

Gdzie kwitnął przemysł rzeźbiarski i zdobniczy, jak to się działo w Tyrolu, stajenki i żłóbki szczególnie ustawiano piękne i wspaniałe. Nie tylko budowano groty z żłóbkami i należącemi do tego osobami, ale wyobrażano także i pola i łąki z pasącemi się trzodami, stawiano wieśniaków, wieśniaczki w ubiorach i strojach narodowych. Wieśniak i mieszkaniec miasta korzystali z długich zimowych wieczorów, ażeby rzeźbić figury do żłóbka, który znajdował się w każdym domu. Taki rozwijano nieraz przy żłóbkach przepych, że, jak opowiadają, jedna rodzina w Tyrolu kazała zbudować żłóbek za przeszło 10,000 złotych.

Jak tylko zbliżały się święta Bożego Narodzenia przystrajano żłóbki w rozmaity sposób, mianowicie świerkowemi gałązkami, mchem itd. I do dzisiaj zwyczaj ustawiania żłóbków przetrwał. W kościołach, gdzie bardzo piękne się nieraz znajdują i po domach pobożni ustawiają stajenki ze żłóbkami ku szczerej prawdziwej radości duchowej.

Stanisław Stwora.

W Betlejemie.

Jakieś się dziwy wielkie dzieją w Betlejemie
jakieś dziwy!... i łuny upowiły ziemię,
i na świat idzie, w słońce radosna Nowina
iże Panna-Panienka Światu rodzi Syna!!

I Zmiłowanie idzie już na ludzkie plemię,
na biedne dzieci Adama i Ewy —
jakieś się dziwy dzieją wielkie w Betlejemie,
anielskie jakieś w gwiazdy biją śpiewy—
Anioł pasterze budzi po dolinie śpiące,
a nad szopą w gloryi, cud!... w noc świeci słońce!!

— — — — — — — — — —

A cóż ty biedny chłopie, ty w zgrzebnej siermiędze,
czy masz choć dziś opłatek i kęs chleba w domu
i jedną jasną chwilę?!... a gdy pokryjomu,
może łzy teraz liczysz... to idź biedny chłopie,
choć u żłóbka, tam... w lichej, walącej się szopie,
Temu, co upodobał sobie was pierwszych w siermiędze
zwierzyć swe bóle i troski i nędze!!



Władysław Roman Wegnerowicz.

Staropolskie widowiska na Boże Narodzenie.

Obecne kolędowania, jasełka i szopki stanowią zaledwie cząstkę tych widowisk zwyczajowych, jakie mieliśmy w dawnej Polsce. Boże Narodzenie zawsze posiadało u Słowian, a szczególniej u nas, ów radosny urok, jakiego nie mają żadne święta lub uroczystości. Zima. Zdaje się, że cała natura przywdziewa kaptur starego Gwiaździura, zmarszczonego, jak ziemia, gdy ją mróz grudą pofarbuje, siwego i zgarbionego, jak świerki drzemiące pod płachtami śniegu puszystego. Tajemniczość, misterium wieczoru wigilijnego ma w sobie jakieś pragnienie, oczekiwanie bez trwogi; każdy czuje, że poważny nastrój zwiastuje tu radość, że nad mrokami zabłyśnie gwiazda promienna, a ciszę shejnali Gloria witająca.

Boże Narodzenie — to święto młodości, święto maluczkich i może dlatego odczuwamy je przez pryzmat lat ubiegłych, w przypomnieniu melodyj dziecinnego serca.

Gdy spojrzymy na widowiska odnoszące się do świąt Bożego Narodzenia zauważymy tu tę właśnie prostotę i naiwność pacholęcą, a z drugiej strony barwną obrazkowość ludową. Nic więc dziwnego, że stare zwyczaje nie przeżyły się, że dotychczas lud polski piastuje ich popularność. A gdy cofniemy się o 300 lat wstecz, zobaczymy, że nasze obecne miniaturowe widowiska ludowe niewiele różnią się od dawnych bogatszych w swej treści prawzorów.

Odnośne zabytki spotykamy po raz pierwszy dopiero w XVII. w. Należy przypuszczać, że i dawniej istniały podobne widowiska w postaci ustnej literatury, jak to zresztą i teraz bywa, gdy młodzi chłopcy — „pastuszkowie“ uczą się od swoich poprzedników „chodzenia po kolędzie“. Obecne jasełka grywane po miastach dają nam do pewnego stopnia wyobrażenie o ekspozycyi sztuk dawnych; odgrywali je przeważnie żacy lub studenci w specyalnie urządzonych ku temu budynkach, dawali widowiska po dworach szlacheckich lub po wsiach w naprędce skleconych szopach.

Że wystawiane sztuki wymagały sceny, że miały pod względem formy szersze aspiracye, przekonamy się zaraz z ich zewnętrznej architektury.



Jak ptaszęta wpośród gniazdka
Śpią dziateczki śpią
I prześlicznie śnią:
O laleczce i koniku,
O książeczce i biczyku,
O chojence ze świeczkami,
Z rumianemi jabłuszkami,
Śnią dziateczki śnią
I cichutko śpią.
A na niebie świeci gwiazdka,
Śpiewa Anioł Stróż:
Bóg się zrodził już!

Paula Wężyk.

„Dialogus in Nativitate Christi“ (p. Teatr ludowy—pr. St. Windakiewicza), pochodzący z pierwszej połowy XVII w., składa się z czterech aktów, prologu i epilogu i należy do tak zwanych scen pasterskich. W prologu mamy tu prośbę aktorów „o nieteskliwe słuchanie“, poczem rozpoczyna się właściwa sztuka. Św. Józef wybiera się do Betleem, a gdy Marya chce mu towarzyszyć, nie chce on z początku na to przystać z powodu bliskiego jej macierzyństwa. W akcie II. widzimy Józefa i Maryę szukających noclegu. Napróżno jednak szukają gościny lub schroniska.

„Bo ja słyszysz, tu dziadów i bab nie nocuję,
tylko ślachta, panięta, z któremi przestaję,“ —

odpowiada im ktoś z chaty przydrożnej, nie chcąc nawet drzwi otworzyć.

Tymczasem zbliżający się moment powicia Dzieciątka wprowadza podróżnych w zakłopotanie. Strudzona Marya udaje się wreszcie do przytułku dla chorych, myśląc, że tam nie zostanie odprawiona. Pyta więc pokornie gospodyni:

„..... *będziecie nam radzi?*

Baba:

„Jeśliś mi co przyniosła, pewnie nie zawadzi,

Marya:

„Przyniosłam ci, babuśku, Boga w mym żywocie,
O którym to proroctwo było, jako wiecie.

Baba:

Mojaś ty, nie pleć-że, nie baw się plotkami,
Ale raczy powiadaj, co masz mówić z nami“.

Nie mogąc dać babie zapłaty, lub gościńca, nie zostaje Marya przyjęta na nocleg. Idzie więc z Józefem za miasto i tam chroni się w przydrożnej szopie, zwanej „Gościńcem“.

W akcie III. przenosimy się w pola. Pastuszkowie jeszcze nie przyszli na stanowisko. Jeden z nich Skowronek czuwa, pilnuje trzód swoich i towarzyszów. Przygrywa sobie na fujarce i pośpiewuje:

„Poydęć ia pod sosieneckę
Tam sobie usiędę
Tam ci swego bydełecka
Z gorki patrzać będę“.

Lecz sen go wkrótce zmaga — zasypia. Tymczasem bydło rozbiega się po polu, za co powracający pasterze strofują Skowronka. Ten na przeprosiny przynosi gorzałki i łagodzi spór. Po uczcie kładą się wszyscy i zasypiają.

Akt IV. rozpoczyna głos Anioła: „Gloria in excelsis“ — pastuszkowie budzą się, biorą dary i ruszają w stronę, aby powitać Nowonarodzonego. Skowronek pyta o drogę, a echo mu jest wskaźnikiem. Przyszedłszy do Jezusa, składają mu swe dary, poczem chórem śpiewają kolędę: „Dziecię, mały Boży synu.“

Epilog dziękuje publiczności za łaskawe odsłuchanie sztuki.

W powyższym „dyalogu“ mamy typowy przykład dawnego teatru. Scena jednocześnie wyobrażać mogła kilka miejscowości; potrzeba było jeno wyobraźni, aby usunąć techniczne trudności ustawicznego przesuwania obrazów.

Inny dyalog p. t. „Rozmowa pasterzów przy Narodzeniu Chrystusowym“ (egz. w bibl. Jagiellońskiej) obejmuje wyłącznie scenę pasterską. Zabytek ten jest znacznie późniejszy (pocz. XVIII. w.), a jednak forma jego prawie że się nie różni od poprzedniego. Oto treść obrazku: Pasterze posnęli w polu. Wśród spokojnej nocy nagle powstaje wielka „jasność“. Zbudzony nią Bartek w przerażeniu woła na towarzyszów, znanemi nam słowy starej kolędy:

„A spis Bartek, Symek, Wojtek, Walek, Tomek, Kuba, Stachu,
Ozwiejcieże się przecie który z was, bo umrę od wielkiego strachu.
Ono coś takiego,
Jak słońce jasnego
Świeci na niebie!“

Zrywa się Wojtek, a ujrzawszy jasność wrząśnie:

„gwałtu niebo gore!“

Przybiegają inni pasterze, a nie rozumiejąc dziwnego zjawiska idą do mądrali — Bartosa na naradę.

„Cego ci janieli,
co się hań zlecieli
po nas żądają?“ —

pyta zatrwożony Stach. Bartos poucza ich, że to objawienie o przyjściu na świat Jezusa. Idą tedy czemprędzej wszyscy do Betleem, gdzie Bartos, jako najstarszy, ma oracyę do Dzieciątka, a wreszcie wszyscy śpiewają z wtórem skrzypiec, basów i dud.

Z dodatku nutowego, jaki dołączony jest do tego obrazku, należy przypuszczać, że utwór w całości był śpiewany i grany. Z innych sztuk staropolskich dotyczących narodzin Jezusa, należy przypomnieć jeszcze te, gdzie zamiast sceny pasterskiej, mamy na pierwszy plan wysuniętą scenę z „Trzema królami“. Atoli w tych ostatnich nie znajdujemy już urozmaicenia, żywszego kolorowania obrazków, natomiast niepożądanie zjawiają się allegoryczne postacie dramatu łacińskiego, jak „Pax, Justitia, Sapientia etc.

Nie ulega kwestyi, że sztuki odgrywane na Boże Narodzenie pozbawione akcyi i wątku dramatycznego, mają dla nas wartość li tylko dla swego pierwiastku ludowego, a przeto wszelkie obce naleciałości burzyły zasadniczy ich charakter.

„Dyalogi“ te wytworzyły jeszcze inny rodzaj widowisk, jak szopki i jasełka. I dziś z przyjemnością słuchamy tych często pociesznych i naiwnych śpiewek fantazyi ludowej i patrzymy na „osóbki podrygujące przed złożonym na sianie Jezusem, a Józef z siwą brodą i Marya odbierają hołd przemijających taneczników. Z bocznej wieżyczki wychodzi najprzód zawiesisty Polonus z zardzewiałą karabelą, poważna towarzyszka w czepcu kroczy ku niemu, a po ukłonie wzajemnym, przetańczywszy polskiego, ustępują miejsca smagłemu Ukraińcowi, który przysiudem ubawiwszy widzów, krzepko wyskakuje ze swoją sudarynią (panią). Kusy Niemczyk w opiętych pluderkach i tłusta Niemkini ledwie że się pokażą, gdy wpada huczny kopeniak i grubą palicą machając, cofa tłumy patrzących“. Dalej występuje krakowiak, góral, aż wreszcie Herod, dyabeł i śmierć. Widowiska zamyka dziadek z torbeczką, prosząc widzów o pieniądze. Szopkę pokazują od św. Szczepana do 2-go lutego. Gdy przypatrzymy się bliżej tekstom jasełkowym, przekonamy się, jak mało w ciągu długiego czasu uległy zmianie. Podany wyżej opis szopki z r. 1840 (J. Konopka — „Pieśń ludu krakowskiego“), niczem prawie nie różni się od obecnie grywanych na rynku krakowskim przedstawień, jak je dziś nazywają obecnie, a jak ongi wszyscyśmy nazywali.

Wacław Wolski.

Betleem w Polsce.

...A ja wam powiadam, matulu,
Że tak mi coś w duszy się klei,
Że nam się Pan Jezus narodził
Tu, w Polsce, nie w żadnej Judei...

Obłapił Jezusek za szyję
Ojczaszka rączkami małemi,
Przymilał się, by mu pozwolił
Przyjść na świat na smutnej tej ziemi..

Matulu, gdzież, jak nie w Polsce,
Biedniejsze te chłopskie są strzechy?
Gdzież bardziej na świecie, niż u nas,
Potrzeba osłody, pociechy?...

Powiedzcie, gdzież indziej na świecie
Tęskniejsze są łąki i pola?
Gdzie mgławią się krwawsze wspomnienia?
Gdzie bardziej przesiąkła krwią rola?.

Gdzie więcej na ziemskim padole,
Spłynęło łez, krzywdy i bólu?...
Gdzie dola narodu smutniejsza?
Powiedzcież sumiennie, matulu!?

... I kiedy se tak popłakuję,
Coś w duszy mi ciągiem się klei,
Że u nas jest w Polsce Betleem —
Nie gdzieś tam w zaświatach, w Judei...

Marya Prajerówna.

U ŻŁÓBKA.

I.

Ciemny pokoik na poddaszu... Blade światełko lampki słabo oświetla cztery nagie ściany ludzkiego mieszkania. W rogu na nędznem posłaniu spoczywa śmiertelnie chora kobieta, młoda jeszcze i — znać, że piękną kiedyś była, ale nieuleczalna choroba zostawiła i na niej swe piętno. Obok, na ziemi, dwoje dziatek małych, chłopiec i dziewczynka, wsparci o siebie główkami szepcą cicho:

— Wandzia mówiła, że dzisiaj aniołek przyniesie jej drzewko, a czemu on do nas nie przyszedł? Czy ona od nas grzeczniejsza, — I w smutnych oczętach dzieweczki zalśniły łzy...

— Cicho, Zosiu, — uspokajał ją braciszek, — i do nas przyjdzie aniołek, tylko widzisz — szeptał, a głos mu drżał boleśnie, — u nas tak nieładnie, pusto, aniołek powalałby sobie skrzydełka, bo on taki bieluchny, wiesz, taki jak czasem mamusia była, gdy jeszcze była zdrowa; zresztą, i tatuś taki pochmurny, tylko narzeka i nigdy nie jest w domu trzeźwym, on możeby aniołka skrzyczał, gdyby do nas przyszedł, bo tatuś nie chce, żeby tu kto przychodził.

— Och, tatuś! — szepnęła ze strachem dzieweczka, — czemu on tak mamusię łaje, że leży i nie chce nic robić; przecież mama chora, nie może wstać, czy tatuś tego nie wie? Czy ten pan, co tu był wczoraj, nie mówił, że mamusia musi mieć dużo spokoju, żeby przyszła do zdrowia?

Zakryła rękami twarzyczkę i rozpłakała się.

— Cicho, nie płacz, — szeptał chłopczyk, — bo mamusia się zbudzi i będzie jej gorzej; aniołek nie zapomni i o nas, dzisiaj maleńki Jezus się narodzi, a mamusia mówiła, że On i biedne dzieci kocha, i że On o nas nie zapomni.

Zosia podniosła zapłakane oczka na braciszka, potem powstała, wspięła się na poduszkach i lękliwie spojrzała na matkę. Uspokojona siadła znów na ziemi i szepnęła:

— Nie, mamusia śpi, nie zbudziłam jej.

Ale chora kobieta nie spała... Słyszała każde słowo i z pod jej zamkniętych oczu łzy płynęły.

— Biedne sieroty, — myślała, — teraz takie nędzne, a potem, gdy ja umrę, co z niemi będzie? A ja już wnet zakończę życie, czuję to, sił mam coraz mniej, zresztą suchoty? na to nie ma lekarstwa. Biedne dzieci! Ojciec wprowadzi w dom inną kobietę, może złą, bez serca! Och! kochane moje biedactwa.

Znowu łzy spłynęły po jej bladem lici — pierś podniosła się westchnieniem.

— O Jezu! Ty dziś przychodzisz między maluczkich, strapionych, a czemu tak mało tego pokoju na ziemi?

. . . .

Północ — głucha, ciemna; straszna dla tych, co z drżeniem liczą każde uderzenie zegara: żali to nie ostatnia ich godzina?

Nagle — — radosny dźwięk dzwonów przerywa straszną ciszę.

To Chrystus się rodzi! Opuszcza niebo, by między cierpiących wnieść radość — życie.

Chora matka otwiera oczy i cicho szepce:

— Dzieci, spieszcie do żłóbka, do Jezusa, On kocha niewinne serduszka; poproście Go, by nie zapomniał o was, o mnie i o waszym ojcu. On was wysłucha, pocieszy, bo On Zbawieniem i Radością jest!

Maleństwa z radością zerwały się z ziemi, — nie czuły dotkliwego zimna, które je przejmowało, oczęta błyszczały radością:

— O tak, do Jezusa, do maleńkiego Dzieciątka! Ono nas kocha i da mamusi zdrowie!

Bosemi nożętami szybko biegły po śniegu, gdzie ich wołał głos dzwonów, powtarzając po cichu:

— Do Jezusa!... do żłóbka!...

II.

Wicher szumiał, wył, świszczał przeraźliwie, czołgając się po pokrytych śniegiem mogiłach. Krzyże smutno wznosiły swe ramiona w niebo, jakby w cichem zaklęciu, błagając Boga o spokój dusz. Zdala dobiegał zgrzyt łamanych konarów, lub poświst wichru, uderzającego o starą, drżącą wieżyczkę kościelną.

Niebo było milczące, zasiane miliardami gwiazd, drżących lekko, jakby wzruszonych tą niedolą, nędzą i boleścią ludzką.

Na jednym z grobów klęczy skulona, czarna postać... Twarzą i ustami przylgnęła do zimnej mogiły — łka cicho — ale gwałtownie; kurcz przebiega po jej ciele, wywołany dojmującym mrozem i strasznym, nieutulonym żalem...

Skroń oparła o skostniałą ziemię i skarży się boleśnie, cicho:

Odeszłaś ode mnie... zostawiłaś mię samą wśród groźnej wichury światowej, a mnie tu tak obco wśród ludzi i tak bezbrzeżnie tęskno za tobą, matko! Mrozem zastygło moje serce i już nie ma bić dla kogo, bo ciebie, która jedna kochałaś mię prawdziwie, już nie ma! O matko! matuchno! odrzuć ze siebie tę zimną skorupę lodu, niech łzami obleję ręce twoje, niech mi wolno będzie chociaż stopy twe ucałować!... Ale ty milczysz... groby odpowiedzi nie dadzą, a umarli nie wracają na ziemię... Och! muszę być samą... sama... sama... taka moja uczta wigilijna i taki opłatek!... Boże! przynosisz ciszę na świat, ulecz moje serce i daj mi ukojenie i poddanie Twej woli świętej, chociaż tak strasznej...

Ukryła twarz w dłoniach i nowy paroksyzm płaczu wstrząsnął całą jej postacią.

Wtem powietrze zadrgało — a wicher przyniósł nad mogiły dźwięk dzwonów radosnych rozkołysanych, zwiastujących przyjście Zbawiciela!

Dziewica zwolna podniosła się z grobu, pokój zdawał się spływać do jej duszy, wzniosła oczy ku niebu i szepnęła:

— Tam znajdę ulgę... ukojenie... tam u żłóbka!

A gdzieś od gwiazd spłynął dźwięczny, melodyjny głos anielski:

Gloria — gloria — gloria! In excelsis Deo!

III.

Pokój wytwornie umeblowany, na kominku igra wesoły ogień, ślizga czerwonym odblaskiem po ścianach, całuje obrazy — posążki.

Czasem zblednie — przygasi się, to znów wesołym promieniem oświetli cały pokój elegancki, ale dziwnie smutny — zimny. Z każdego kąta wygląda zmora — zapomnienie — smutek...

Obok kominka, na fotelu siedzi mężczyzna z twarzą ukrytą w dłoniach. Siedzi nieruchomy, jakby zaklęty w posąg z granitu, bez czucia, bez słowa.

Po chwili ciężkie westchnienie wydziera się z głębi piersi, podnosi głowę i w smutnej zadumie spogląda w około.

Twarz, jeszcze młoda, piękna, już napiętnowana boleścią, włosy krucze przyprószone siwizną. Jakiś ogień tli w czarnych źrenicach, przymkniętych z ironicznym trochę wyrazem.

Usta poruszyły się i ciszę przerwały słowa groźne, syczące, przepełnione bólem i rozpaczą.

— I mówią, że jest Bóg dobry, miłosierny! hahaha! kto tak twierdzi, niech przyjdzie do mnie, niech spojrzy w głąb mojego serca, a przerazi się tym oceanem boleści! Ach! jam ją tak kochał! jam żył tylko dla niej i przez nią; była moim aniołem, przyjaciółką — żoną. Była moim promieniem, natchnieniem... Dziś — gdzie spojrzę, wszystko mi ją przypomina, nasze szczęście... ale tu już pustka, a jej nie ma, nie będzie nigdy. Nigdy?... aa! co za przepaść słowa, co za bezmiar tęsknoty! Zabrał mi ją ten, o którym mówią, że jest Dobrocią i Miłością! O Jezusie!

Zerwał się z fotelu i szybkiemi krokami począł krążyć po pokoju. Był wzburzony, gniewny.

Zegar powoli zaczął wybijać godziny... Północ już była, a sen nie kleił mu powiek.

Wziął zarzutkę, kapelusz i wybiegł na ulicę...

Mroźne powietrze poczęło przejmować go na wskroś, więc biegł szybko, mijając ulice puste prawie, bo każdy w swojem gniazdku rodzinnem mile czas spędzał przy wigilijnym stole.

O święcie! marny świecie i Ty, co nad światem panujesz, patrz — i urągaj mi!... Wszyscy w swojem gronie czują się szczęśliwymi, chociaż dzisiaj.. chociaż raz w roku — a ja?... Ja jeden samotny, opuszczony, sam z moją rozpaczą....

Do uszu dobiegają mi wesołe tony kolend, a ja dotąd jeszcze słyszę ponurą orkiestrę, dotąd huczą mi straszne słowa: „W mogile ciemnej spisz na wieki."

Kościół... tutaj przysięgłaś mi miłość, stąd jam cię uprowadził jako żonę, ozdobę i szczęście domu mojego... Och! widzę cię jeszcze teraz, jak z zachwytem patrzałaś na maleńki żłóbek Jezusa, jak w modlitwie spływała po twej twarzy anielska łza wdzięczności...

Dzisiaj — samotny błądzę po ulicach, a nad tobą jeno wichry wyją, jeno mróz skostniałym otula cię szkieletem.

Wejdę tutaj — wszak ten kościół był świadkiem mojego szczęścia, niechże dziś patrzy na moją boleść i powie, żali jest Bóg dobry i miłosierny!

Tu odżyją moje najmilsze wspomnienia, tutaj chociaż chwilkę tylko będę szczęśliwy, będę się łudził, że ty, jak niegdyś jesteś i teraz ze mną.

Westchnął głęboko i chwiejnym krokiem przestąpił próg świątyni.

* * *

Kościół jasno oświetlony, uroczysty... Radość drży w powietrzu, wieje od małego żłóbka, w którym spoczywa Bóg-człowiek, nowonarodzony Jezus! Nad Dzieciątkiem pochylona klęczy jego matka, z miłością w ciemnych źrenicach, z troską na pięknej twarzy.

U stóp ołtarza klęczą tłumy pobożnych; rozmodleni, w ekstazie, wpatrzeni w maleńki, ubogi żłóbek...

Tu każdy składa swoje cierpienia i troski, swoje nadzieje i zawody.

Szeregi świec goreją na ołtarzach, i tysiące serc biednych, zranionych, skarży swój ból i żal...

A Jezus, maleńki, drogi Jezus rączyny wyciąga do tego tłumu, skarżącego się tak cicho, a tak gorżko... i zdaje się pocieszać biedne, znękane dusze.

Lud modli się, żebrze i błaga zmiłowania, a Dziecina maleńka słucha i błogosławi...

Z usteczek rozchylonych uśmiechem pokoju, szczęśliwych ofiarną miłością, płyną do serca ciche, ukojone słowa: „Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzy płaczecie. Ja was pocieszę!..."

I idą po pociechę... idą po ukojenie... po zapomnienie bólów i cierpień...

I klęczą dwa maleństwa bose, z oczyma utkwionemi w żłóbku, ufne, że Jezus, przyjaciel dzieci, wysłucha ich i da zdrowie matce, a upamiętanie ojcu...

Modlą się gorąco, szczerze, i nie widzą nawet, jak za niemi wzruszony klęka ich zbłąkany ojciec i, wybuchając szlochem szczerego żalu, błaga: Boże! bądź mi miłościw!...

„Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi..."

Zrywa się radosna kolenda ze wszystkich serc, płynie nad tłumami, przypada do jasnych ołtarzy, tuli się do maleńkiego żłóbka, i wnika w najtwardsze, harde serca...

Wszyscy śpiewają wzruszeni, upojeni, przejęci doniosłością chwili...

Biedna, zrozpaczona sierota, ciśnie zbolałe serce i łzę ociera z oczu... Straciła matkę, ale nie jest samotną; ten maleńki Jezus jest z nią, On zna jej ból, on ją koi, cieszy, błogosławi... Nie jest samotną, o nie!!! Bo tu jest jej życie, jej szczęście, jej świat...

Ukojona, z nadzieją w sercu, łączy się serdecznym aktem miłości i oddania z tysiącznym tłumem pobożnych.

A tam u drzwi z pochyloną głową stoi smutny małżonek-wdowiec...

Słucha kolend z ironicznym uśmiechem, szarpany bolesnemi wspomnieniami...

Tu ona była... tu modliła się...

Z gorżkim wyrzutem spogląda na Jezusa w żłóbku i rzuca Mu niemą skargę: Czemu mi ją zabrałeś .... Czemu?....

„Ono w żłobie nie ma tronu
„I berła nie dzierży,
A proroctwo jego zgonu
„Już się w świecie szerzy...
„Oto jak każą kapłani

płynie z ust rozmodlonych, upojonych, szczęśliwych...

Pieśń wnika w serce zbuntowanego: tak, i Ten tam leżący cierpiał... przyszedł, aby cierpieć...

Czuje dziwną ulgę.

I On cierpiał, i ja cierpię... I rzuca do żłóbka spojrzenie współczucia i zdaje mu się, że ta Dziecina Boska wzywa go do siebie rączynami i szepce: „Pójdźcie do Mnie wszyscy, którzy płaczecie, Ja was pocieszę...."

On zna boleść, On cierpiał... szepce mu jakiś cichy, anielski głos, On cię pocieszy!...

I zdaje mu się, że poznaje ten drogi głos... On go słyszał tak często... słyszał, gdy ona żyła...

Jest szczęśliwym! Nigdy nie czuł jeszcze tak bardzo jej obecności, jak oto teraz.

Tak, ona jest przy nim, ona modli się za niego, jak rok temu... Odnalazł ją tutaj... u żłóbka... I będzie z nim zawsze, już zawsze... Już nic ich nie rozdzieli... a złączy modlitwą... Jezus....

Łzy spływają mu po twarzy, łzy ostatnie żalu i rozłąki...

Wszyscy czują się szczęśliwymi, wszyscy bracia złączeni, pojednani u żłóbka...

I już ze wszystkich serc zgodnie i szczerze wzlata pod stropy gwiaździstego nieba rzewna kolenda:

„Damy dar troisty:
„Modły, prace niosąc w dani
„I żar serca czysty.
„To kadzidło, mirę, złoto,
„Niesiem Jezu szczerze,
„Dajem to z serca ochotą
„Przyjm od nas w ofierze..."



Pańskiego Dzieciątka święto.

W wigilię przed Godnemi świętami, już od samego świtania wrzał przyspieszony gorączkowy ruch w całych Lipcach.

W nocy, czy też dopiero na odedniu, mróz był znowu krzepko chycił, a że przyszedł po paru dniach miętkich i wilgnych mgieł, to obwalił drzewa sadzibom, pod brogi pełne; gdzie znów, ale nie często, zajączek jaki zaczerniał, kicał po śniegach, stawał słupka i drapał stwardniałą skorupę, dobierając się do zboża, ale spłoszony szczekaniem psów, uciekał z nawrotem do borów oszroniałych, zawalonych śniegiem, zmartwiałych z zimna. — Pusto i głucho się czyniło na tych nieobjętych okiem równinach śnieżnych, a tylko gdzieś, w dalekościach modrawych, majaczyły wsie, siwiały sady, mroczały gąszcze, połyskiwały zamarzłe strumienie.

Chłód przejmujący i od tych mroźnych brzasków świetlisty, wionął świaokoło domów, po stajniach rżały konie, z obór wyrywały się przeciągłe, tęskne ryki, a nawet ten śnieg jakby radośniej skrzypiał pod nogami, płozy sań piskały na twardych wyszlichtanych drogach, dymy biły modrymy słupami a prościuteńko jakby strzelił, okna zaś chałup grały tak w słońcu, aż raziło — a wszędzie pełno było wrzawy, dzieci, rwetesu, gęgliwych głosów gęsich, co się trzepały po przyręblach, nawoływań; pełno było po drogach ludzi, przed domami w opłotkach, a wskroś ośnieżonych sadów raz po raz czerwieniły się wełniaki kobiet, przebiegających z chałupy do chałupy, że raz po



P. P. Rubens. **Dzieciątko Jezus ze Ś-tym Janem.**

dzią, jakby temi szklanemi stróżynami, albo zasie puchem co najbielszym; słońce się nawet całkiem wyłupało i świeciło na modrem, jakby oprzędzonem w cieniuśkie, przejrzyste mgły niebie, jeno że blade było, ostygłe, nic nie grzejące, a naprzeciw, bo mróz brał na dzień, podnosił się jeszcze i przejmował taką skrzytwą, że dech zapierało i stworzenie wszelkie chodziło w parach oddechów niby w kłębach mgieł, ale świat się cały rozsłonecznił i stanął w takich migotliwych, jarzących blaskach, w takich ostrych skrzeniach, jak żeby kto dyamentową rosą przyokrył śniegi, aż oczy bolały patrzeć.

Okólne pola przywalone śniegiem, leżały białe, roziskrzone a głuche i martwe, ino czasami ptak jakiś łopotał wskroś bielizn mieniących, że ino cień jego czarny migotał po zagonach, albo to stadko kuropatw skrzywiało się pod zasypanemi krzami i płochliwie, czujnie, ciągnęło chyłkiem ku ludzkim sietem całym i przenikał nawskroś zlodowaciałą ciszę.

Żaden krzyk nie rozdarł zakrzepłego milczenia pól, żaden głos żywy nie zadrgał, ni nawet poświst wiatru nie zaszeleścił w suchych roziskrzonych śniegach — ledwie niekiedy, czasami od dróg zgubionych, tłukł się jękliwy głos dzwonka i skrzyp sanic, ale tak słabo i odległe, że jeszcze nie chycił całkiem, nie rozeznał skąd i gdzie, a już przebrzmiało i zgoła przepadło w cichościach.

Ale po Lipeckich drogach, z obu stron stawu, rojno było od ludzi i wrzaskliwie; radosny nastrój święta drgał w powietrzu, przenikał ludzi, nawet w bydlątkach się odzywał; krzyki dźwięczały w słuchliwem, mroźnem powietrzu, kieby muzyka, śmiechy rozgłośne, wesołe leciały z końca w koniec wsi, radość buchała z serc; psy jak oszalałe, tarzały się po śniegach, szczekały z uciechy i ganiały za wronami, tłukącemi raz trącane w biegu drzewiny i krze, sypały strugami okiści niby ta srebrna kurzawa.

Młyn nawet dzisiaj nie turkotał, stanął na święta całe, a tylko zimne szkliwo wody przejrzystej, puszczonej na upust, dzwoniło bełkotliwie, a gdzieś za nim, w błotach i oparzeliskach, z oparów kurzących się mgłami, wydzierały się krzyki dzikich kaczek i całe ich stada kołowały.

A w każdej chałupie, u Szymonów, u Maćków, u wójtów, u Kłębów i kto ich tam zliczy a wypowie wszystkich, przewietrzano izby, myto, szorowano, posypywano izby, sienie, a nawet i śnieg przed progami, świeżem igliwem, a gdzie niegdzie to i bielono poczerniałe kominy; a wszędzie na gwałt pieczono chleby i one strucle świąteczne, oprawiano śledzie, wiercono w niepolewanych donicach mak do klusek.

Boć to Gody szły, Pańskiego dzieciątka święto, radosny dzień cudu i

zmiłowania Jezusowego nad światem, błogosławiona przerwa w długich, pracowitych dniach, to i w ludziskach budziła się dusza z zimowego odrętwienia, otrząsała się z szarzyzny, podniosła się i szła radosna, czująca mocno, na spotkanie narodzin Pańskich!

I u Borysów był taki sam rwetes, krętanina i przygotowania.

W chałupie uwijano się żwawo, Józka przyśpiewywała cichuśko i strzygła z papierów kolorowych one cudackie strzyżki, które czy na belkę, czy też na ramy obrazów nalepić, to widzą się kieby pomalowane w żywe kolory, od których aż gra w oczach. A Jagna, z zakasanemi po ramiona rękawami, miesiła w dzieży ciasto i przy matczynej pomocy piekła strucle tak długachne, że widziały się jako te lechy w sadzie, na których pietruszkę zasiewają, to chleby bielsze nieco z pytlowej mąki — a zwijała się żywo, bo ciasto już kipiało i trza było wyrabiać bochenki, to zaglądała za Józiną robotą, to zaglądała do placka z serem i miodem, któren wygrzewał się już pod pierzyną i czekał na piec, to latała na drugą stronę do szabaśnika, w którym buzował się tęgi ogień!

Witek miał przykazane, aby pilnował ognia i dokładał polan, ale tyle go ino widzieli, co przy śniadaniu, bo zaraz się gdziesik zapodział. Próżno Józka, to Domnikowa szukały go po obejściu i nawoływały, ani się odezwała jucha; siedział ano za brogiem, w szczerem polu pod krzami i zakładał sidła na kuropatki, a gęsto je przysypywał plewami dla niepoznaki i przynęty. Łapa z nim był i ten Bociek, którego to był w jesieni chorego przygarnął, wykurował, ochraniał, żywił, sztuk różnych wyuczył i tak się z nim pokumał, że niech ino zagwizdał nań po swojemu, to ptak chodził za nim niezgorzej od Łapy, z którym był w wielkiej zgodzie, bo razem wyprawiali się na szczury w stajni.

Dziad Rocho zaś, którego na całe święta Boryna do chałupy przyjął, siedział już od rana w kościele i tam do spółki z Jambrożym przystrajali ołtarze i ściany jedliną, jakiej nawiózł księży parobek.

Południe już dochodziło, gdy Jagna skończyła z chlebem, ułożyła bochenki na desce i jeszcze oklepywała i smarowała je białkiem, by zbytnio w ogniu nie popękały, gdy Witek wraził głowę w drzwi i krzyknął:

— Kolendę niesą!

Jakoż już od rana, starszy organiściak. Jasio, ten, co był w szkołach, roznosił opłatki do spółki z młodszym bratem. —

Dojrzała ich Jagna już przed gankiem, że czasu nie było nawet coś uprzątnąć, gdy do ich izby weszli z pochwalonym.

Zafrasowała się wielce, że to w izbie rozgardyasz był taki, to ino schowała pod zapaskę gołe ręce i zapraszała by siedli odpocząć, bo kosze mieli wielkie, a młodszy dźwigał niezgorsze torbeczki i niepróżne.

— Jeszcze mamy pół wsi obejść, a czasu nie wiele!... — wzbraniał się.

— Niech pan Jasio choć się ogrzeje, zamróz taki!

— A może ździebko gorącego mleka, to uwarzę, — proponowała Dominikowa, wymawiali się, ale przysiedli pod oknem, na skrzyni, Jasio zaś wziął w koszu szukać opłatków, a wyjął lepszą i grubszą paczkę, bo w złoty pasek okręconą i poprzekładaną kolorowymi opłatkami. Jaguś wzięła ją przez zapaskę i położyła na talerzu, pod pasyjką, a potem wyniosła z dobry garniec siemienia lnianego i sześć jajek.

A wtem Józka przystąpiła zapłoniona i jęła prosić, aby dał parę kolorowych opłatków.

— Na święty mi potrzebne, były z łońskiego roku, ale się do cna pomarnowały.

Juści, że dał jej kilkanaście i coś aż w pięciu kolorach.

— Aż tyle! Mój Jezus, adyć to starczy i na święty, i na księżyce, i na gwiazdy! — wołała ucieszona, poszeptała z Jagną i zesromaną, przysłaniając twarz zapaską, wyniosła mu za nie coś sześć jajek.

Z powieści Reymonta „Chłopi“.



O gwiazdeczko! coś świeciła
Nad stajenką tam,
Powiedzże nam gwiazdo miła,
Powiedz gwiazdko nam:
Kto ci mleczne wskazał drogi,
Żeś przebyła świat,
I przed Boży tron ubogi
Mędrcom stała ślad?
Wszechmogący Stwórca ziemi
Życie we mnie wlał
I drogami błękitnemi
Do Betlejem słał.
Bo jak Anioł wiódł pasterzy
W Betlejemski próg,
Tak przezemnie wieść się szerzy,
Gdzie zrodzony Bóg.

Ignacya Piątkowska.

SZAROTKA.

FANTAZYA.

Kiedy Chrystus się narodził, do małej Betleemskiej stajenki prowadziła pasterzy, mędrców i króli, gwiazda wielka, srebrzysta, która na rozkaz Boży ukazała się niespodzianie na nieboskłonie.

Gwiazda była przedziwnej wielkości i blasku.

Bóg jednak nie chcąc, aby gwiazda wskazująca drogę do Jego Dziecięcia, przyświecać miała wespół z drugiemi siostrzycami światu całemu, postanowił, kiedy dopełniła już swego posłannictwa, usunąć ją z nieba.

Biedna gwiazdka, nie mając oparcia w niebie, spłynęła zadumana na ziemię i tam szukała przytułku.

Wszędzie jednak, gdziekolwiek się zatrzymała, było jej tęskno i duszno. Kwieciste doliny, lasy zaciszne, głębie mórz rozległe, wszystko to nie zaspakajało tęsknoty gwiazdy samotnej. Rwała się ku niebu, ku siostrom swym, migotliwym gwiazdom.

Beznadziejna wreszcie sądziła, iż przyjdzie jej skonać z żalu, uniosła się więc po raz ostatni w górę, aby spojrzeć w niebo i pożegnać je, pożegnać rodzinny swój zakątek.

Nagle serce jej zadrżało dziwnem wzruszeniem po nad ziemią — unosił pierś swą kamienną wyniosły szczyt skalny, gwiazda bez namysłu rzuciła się na ten odłam i tu zawisła.

Szczyt był nagi — biedna wygnanka niebios w tysiące srebrzystych gwiazdek rozstrzeliła się, i zasłała niemi ten grzbiet skalny...

Takie były narodziny pierwszej tatrzańskiej szarotki. Wiatr halny kołysał ją do snu, orzeł skalny szeptał jej czarowne baśni a matką rodzicielką była jej Gwiazda Betleemska.

Dziś nas wzywa Bóg łaskawy,
Łaską darzy nas,
Szczęsny, kto wśród świata wrzawy
W szopkę zwróci twarz!
Lecz niestety! na głos Boży
Nie pospiesza lud,
Bo niewiernych nie zatrwoży
I największy cud.

†

Z żałobnej karty.

Ś. p. Dr. Henryk Szuman

nestor społeczeństwa naszego umarł prawie nagle dnia 17-go b. m. w 89-ym roku życia w Swarzędzu pod Poznaniem.

„Dziennik Poznański,“ którego ś. p. Dr. Henryk Szuman był przez czas pewien przed kilkudziesięciu laty naczelnym redaktorem, a następnie, aż do końca życia, zasilał go cennemi swemi pracami, poświęca Zmarłemu następujące wspomnienie pośmiertne:

„Nową żałobą okryła się Wielkopolska.

Jeden z najzacniejszych jej synów ś. p. Henryk Szuman po znojnej pracy długiego żywota legł w grobie.

Wzrosły i wychowany w zdrowem duchowem powietrzu, w takich jak być powinny warunkach rodzinnego życia, w dobrych przykładach i w prostem, czerstwem pojęciu życia, miał odrazę do wszystkiego ,co niskie, co nieczyste, niepewne, rwał się do tego, co lepsze, wznioślejsze, niepospolite.

Czuł wstręt do pustych haseł w dziedzinie myśli, do czułostkowości w dziedzinie uczuć, do wszystkiego, co było zewnętrznym a czczym objawem w dziedzinie czynu i nie przynosiło istotnych korzyści skarbowi narodowemu.

Rozum trzeźwy, a patryotyzm gorący nadawały kierunek pracy jego i służbie publicznej. Miłość ojczyzny była mu gwiazdą przewodnią, prądem podnoszącym serce z kału ziemi na ideału wyżyny.

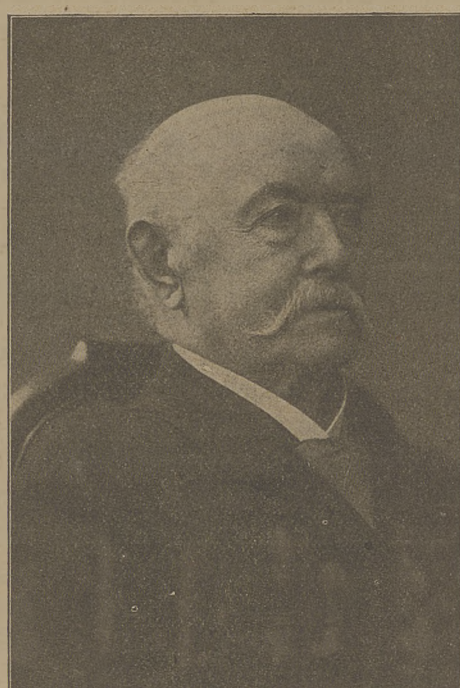
Żywot jego może być dla nas drogowskazem, jak postępować mamy wśród wyjątkowo groźnego położenia.

Ś. p. Henryk urodził się 3-go lutego 1822 w Władysławowie, w powiecie czarnkowskim, z ojca Maurycego Szumana i Henryki z Hoyerów. Po ukończeniu gimnazyum Maryi Magdaleny w Poznaniu poświęcił się studyom prawniczym, które odbywał w Wrocławiu, Berlinie i Bonn.

Złożywszy egzamina, mianowany auskultatorem przy sądzie berlińskim, pierwszy raz w młodzieńczym jeszcze wieku wchodzi na arenę publiczną w r. 1848, mając sobie powierzoną obronę kilku podsądnych ze sprawy śledczej przeciw uwięzionym z powodu spisku Mierosławskiego w r. 1846, a zarazem jako pomocnik jednego z najznakomitszych ówczesnych adwokatów, Crelingera, w procesie tym występującego, któremu dodanym został jako tłumacz, dla klientów nie władających dostatecznie językiem niemieckim.

Kiedy w czasie znanych wypadków w r. 1848 utworzoną została w Berlinie polska legia akademicka, ś. p. Henryk Szuman zostaje jej dowódcą i przeprowadza ją do Poznania. Później mianowany adjutantem Mierosławskiego, bierze udział w wszystkich potyczkach.

Pojąwszy w r. 1859 w związek małżeński Kamilę Kościelską z Śmiłowa, która mu do końca życia osładzała cierniste nieraz dni, porzucił zawód prawniczy i osiadł na roli w Władysławowie, stanąwszy od razu w szeregi tych, którzy w sprawach społecznych przodowali. W roku 1860 należy do założycieli Towarzystwa rolniczego poznańsko-szamotulskiego, a po założeniu Centralnego Towarzystwa zostaje jego sekretarzem.



Ś. p. Dr. Henryk Szuman.

Rok 1863 zastaje go już posłem, wybranym do sejmu pruskiego z okręgu pleszewskiego; obejmuje zaś równocześnie redakcyę „Dziennika Poznańskiego,“ ale krótko tylko pozostaje na tem stanowisku, ponieważ aresztowany pod zarzutem zdrady stanu, półtora roku siedzi w berlińskiem więzieniu w Moabicie. Do redaktorskich zajęć nie powrócił już, ale do końca życia zasilał pismo nasze artykułami, w których zawsze odzwierciedlała się prawość jego duszy. W tem, co pisał, czuć było sumienie, czuć było, że rozumie obowiązek obywatela Polaka.

Mandat poselski piastował blisko pół wieku, a bardzo długie lata przewodniczył Kołu sejmowemu polskiemu. Działalność jego parlamentarna zbyt jest obszerna, abyśmy ją mogli w obecnej chwili szczegółowo rozbierać. Zaznaczyć tylko pragniemy, że jako ziemianin pamiętał o potrzebach włościaństwa naszego, stawiając w roku 1877 w sejmie pruskim wniosek o utworzenie dla posiadłości włościańskich Towarzystwa kredytowego, co też następnie uchwalonem zostało.

Jako prezes sejmowego Koła polskiego umiał przy poczuciu godności osobistej uszanować zapatrywania inne, pracował około sprawy publicznej jak przywódca wierny swoim zasadom, ale również jako karny szeregowiec. Na tem stanowisku niespożyte położył zasługi.

Świadek zawiązku parlamentaryzmu naszego, a pośrednio przynajmniej czynny pomocnik pierwszych naszych posłów, spisał i ogłosił drukiem ten okres politycznych dziejów naszych, aby obronić reprezentacye nasze przed zarzutami podnoszonymi niejednokrotnie, jakoby i one przyczyniły się do niefortunnego obrotu narodowej sprawy naszej.

Po za pracami parlamentarnemi działał zmarły niemniej gorliwie i na innych polach pracy naszej społecznej. Obrany w r. 1872 prezesem Centralnego Towarzystwa Gospodarczego piastował godność tę do r. 1885, kiedy to nie mogąc sprostać wszystkim podjętym obowiązkom, prezesostwo złożył. Mimo wszelkich starań, których wraz z innymi obywatelami dokładał, nie mógł w czasie tym uchronić od zamknięcia żabikowskiej szkoły rolniczej, którą społeczeństwo nasze ziemiańskie z takim trudem otworzyło. Po tym wypadku, wśród ogólnych niepowodzeń gospodarczych, kiedy pośród Towarzystwa zaczynała się ujawniać pewna apatya, znużenie i zwątpienie, podtrzymuje i podnieca ducha i przyczynia się do przełamania niechęci, stojących na drodze wspólnej pracy, prowadzącej do postępu.

W pracy publicznej nie ustał do końca życia.

Przed niedawnym dopiero czasem złożył godność prezesa Koła, a na kilka miesięcy przed śmiercią mandat poselski. Ostatnim nawet cierpieniom w tak podeszłym wieku, nie chciał pozwolić się złamać. Do ostatniego dnia wstawał i do ostatniego prawie o sprawie publicznej myślał.

W żelaznem jego ciele żelazny był duch.

Mimo, że ś. p. Henryk doszedł już granic życia ludzkiego, śmierć jego

wywołała powszechny a szczery smutek i żal. Są one wyrazem wdzięczności i uznania za podjęte prace i położone zasługi, a powodowane uczuciem, że stratą jest dla kraju ubytek męża tej wartości maralnej. Służba publiczna potrzebuje mężów przejętych miłością i poczuciem świętości sprawy publicznej. Tacy ludzie jak ś. p. Henryk Szuman już przez to samo mają zasługę, że swym przykładem umoralniają życie publiczne, podwyższają wymagania co do jakości ludzi politycznych.

Pośmiertny hołd pamięci ś. p. Henryka Szumana oddajmy w sposób, który tę pamięć na zawsze utrwali, krzewiąc i pielęgnując te cnoty, któremi jaśniał, któremi szacunek i zasługi pozyskał.“

* * *

Eksportacya zwłok ś. p. dra Henryka Szumana odbyła się w Swarzędzu, dnia 20-go b. m. po południu do kościoła swarzędzkiego, a dnia następnego złożono po odprawionem nabożeństwie żałobnem zwłoki Zmarłego na cmentarzu swarzędzkim.

Cześć Jego pamięci, spokój Jego duszy!

Porywczość jest karykaturą odwagi, ale godzić się daje z najsromotniejszem tchórzostwem.

Henryk Rzewuski.

* * *

Nie każda przemoc łamie, ale każda niewola podli, a najbardziej duchowa niewola.

Stanisław Szczepanowski.

Z Bardzkich Anna Karwat.

Wieczór wigilijny.

Zimowy krajobraz czarował ludzi białością puchów śnieżnych, ćmił im wzrok mrozem wyiskrzonymi połyskami brylantowych przestrzeni, na których drzewa i krzewy znaczyły się ciemnemi, pięknemi liniami, jakby narysowanemi węglem na płótnie ręką mistrza. Słońce wzbiło się kulą ognistą ku górze, ale nie królowało wysoko, ani długo na widnokręgu, raczej spieszyło się, by zniknąć za sinym borem. Wcześnie chciało dziś zgasnąć dla naszej półkuli ziemskiej, by ustąpić miejsca tej pierwszej gwiaździe, która ma zabłysnąć na niebie, by rozradować dziś niebiańską uciechą serca jej mieszkańców chrześcijańskich, czy maluczkich — czy dużych. Gwiazda oczekiwana sprawić miała ucztę wigilijną i malowniczo położonej, cichej wsi. Ileż serc biło tętnem przyspieszonem dnia tego we dworze i w chatach wiejskich! Wszak wszyscy pójść mieli do świętego, miłego żłóbka, do czarownego drzewka, by radosną chwilę Bożego Narodzenia przebyć razem z chlebodawcami swymi a na odwrót cieszyli się państwo, że mają u siebie, pod jednym dachem, zgromadzić i obdarzyć całą czeladkę swoją.

Wańdzia, jedyna córeczka państwa Wanieckich, nie chciała już dnia tego odbyć nawet koniecznej dla zdrowia przechadzki z nauczycielką swoją, panną Janiną, ale Janina Rybicka, chociaż młoda wiekiem i łagodna usposobieniem, umiała być stanowczą, jeżeli chodziło o dobro powierzonego jej dziecka.

— Pójdziemy na przechadzkę, Wańdziu, — zachęcała uczennicę z energią w głosie, — wrócimy wcześnie, nim gwiazda zabłyśnie.

Ubrały się spiesznie w futerka lekkie i poszły obydwie drogą, wiodącą ku wsi kościelnej. Wańdzia, ożywiona niezwykle od samego rana, opowiadała Janinie wrażenia swoje bez przerwy:

— Proszę pani, jakie piękne to niebo purpurowe! cudne! ach cudne! Proszę patrzeć... Janina powiodła tęsknemi oczyma ku zachodowi, pierś jej podniosła ciche westchnienie.

— Nic pani dziś nie mówi... proszę spojrzeć raz jeszcze! Jaki ten śnieg tam pod górką szafirowy, a tu na równej przestrzeni roztacza takie blaski, że aż oczy bolą! O, jaki też ten świat dziś piękny! jak z marcepanu i puchu! Proszę pani, wszak Bóg dobry, że nas tem wszystkiem obdarza?! Mama zawsze tyle mówi o Bogu...

Janina milczała.

— Dlaczego pani dziś taka milcząca?

— O Bogu chcesz, żebym ci mówiła, — odezwała się Janina po długiej chwili z ociąganiem, — alboż o Nim ci nie mówię na lekcyi?

— Na lekcyi — prawda — ale na spacerach mało, a przecież mama mówi, że najbardziej odczuwa się Boga, gdy patrzymy na piękny świat!

— Słuszna uwaga mamy, ale...

— Ale... ale co?

— Na spacerach lubię myśleć, mniej mówić, zresztą natura jest tak piękna, że wolę na nią patrzeć w milczeniu.

— Ale mama powiada, że Pana Boga moc i mądrość podziwiać trzeba w tej naturze więcej, niż samą naturę.

— Mama ma racyę — zupełną racyę, — tu Janina głowę spuściła ku ziemi, odtąd kroki jej stały się powolniejsze, a oczy zachodziły wilgotną mgłą. Postępowała w milczeniu obok dziewczynki.

Wańdzia jęła się niecierpliwić:

— Chodźmy do domu prędzej, — wkrótce już gwiazda wieczorna ukaże się na niebie — będzie żłóbek! będzie drzewko! — Tu radośnie uderzyła w rączęta:

— Boże, mój Boże, te podarki! te cudne cacka!

Biegła teraz już co tchu, Janina za nią podążyć nie mogła, jakaś niemoc wstrzymywała jej kroki, jakiś ból hamował jej oddech.

— Wańdziu, Wańdziu! — wołała zdala, z wysiłkiem spiesząc za uczennicą, ale Wańdzia wchodziła już właśnie do sieni dworskiej, co widząc Janina, skręciła do cienistego parku. Dążyła w głąb odległych alei, chociaż zimno dotkliwe przenikało ją. Śnieg przylegał wraz z suchymi liśćmi do bucików. Wspomnienia zawładnęły jej myślami:

— Tak, tu, niedawno jeszcze chodziłam walcząc z sobą, gdy jesień strącała liście z drzewa... ta dziwnie smutna jesień... mówiąca tak wyraźnie, że wszystko ginie bezpowrotnie... bezpowrotnie. Zastanowiła się. — Ależ nie! z wiosną drzewa zmartwychwstaną — cały świat zmartwychwstanie... a ludzie? a ja?

Przeczyła głową:

— Nie wierzę! nie wierzę! — Czoło jej młode pokryło się chmurnie:

— Więc nie mam nic — nic — do oparcia swego ducha, który upada od



Promyk gwiazdki padł na łóżko,
Świeci, lśni z daleka,
Chorej Mani drży serduszko,
Zda się na coś czeka.
Siada, zrywa się z pościeli
I otwiera oczy:
Czy to sen ten Anioł w bieli,
Śliczny i uroczy?
— Nie, to nie sen Maniu mała,
Mnie Dziecina Boża,
W noc gwiazdkową dziś przysłała
Tu, do twego łoża.
Po calutkiem dzisiaj świecie,
Chodzą Aniołkowie,
Tobie Maniu, Jezus-Dziecię
Śle przezemnie zdrowie.

Paula Wężyk.

walki trudnej?.... I tak żyć muszę z dnia na dzień, jako ten liść na drzewie... i przyjdą wichry jesienne i oderwą go od konarów, by rzucić przechodniom pod nogi... żeby go zdeptali — sponiewierali... i wśród szyderstw wykrzyknęli jeszcze: „Obłudnica! grała komedyę!“ — Nie — stokroć nie! tak dalej być nie może! Wańdzia zaczyna dostrzegać, że nie mam podstaw tej wiary, którą ona mieć musi i mieć powinna! Ale cóż ze mną będzie... i gdzież się podzieję? Tu dom zacny, ludzie szlachetni, — alem ja tego domu niegodna, dla doktryn, które mi wpoiła filozofia modernistów! Pójdę, pójdę znów na tułaczkę okropną... a tu było mi dobrze, jak kiedyś u rodziców, w tym miłym, małym domku, gdzie stała moja kolebka...

Gwałtowny płacz podnosił jej pierś, serce, poruszone wzruszeniem, drżało nerwowo. Zwróciła się do dworu, by pójść do swego pokoju na piętrze. Wkrótce stanęła już na progu swego zacisza domowego, miłe ciepło owiało jej ziębnięte ciało, pokoik, ładnie urządzony, zdawał się uśmiechać do niej, — ona nawzajem witała go radośnie, ale nagle znów sposępniała, jedna i ta sama myśl ciężyła jej ołowiem:

— Wszak to zacisze słodkie rzuci wkrótce na pewno, tak, ona je nawet rzucić musi koniecznie, bo uczciwie postępować ze zacnymi ludźmi każe jej sumienie... Tego jadu, zaszczepionego jej księgami modernistów, ona do duszy Wańdzi nie dopuści! W swej moralnej rozpaczy biadała już głośno:

— Jak to jest straszne, taka niewiara w duszy do wszystkiego, co dla nas powinno być najświętszem! Odczuwam to wyraźnie — bo z doktrynami modernistów szczęśliwą nie jestem!

Padła na sofę, załamując ręce, a trwała długo w tej walce z czujnem swem sumieniem, biorąc na szalę sprawiedliwości osobiste swoje szczęście i przyszłość i szczęście powierzonego wychowaniu jej niewinnego dziecka! Sumienie czujne przeważyło szalę na korzyść wychowanki.

Mrok zimowy zapadł wcześnie, w pokoju Janiny było już ciemno zupełnie, nie zauważyła tego bynajmniej, dusza jej wzbiła się w górę na skrzydłach wspomnień, dążyła po dawnych szlakach do tego cichego, małego domku rodzicielskiego, do tej chwili uroczystej rannej i wieczornej, w której matka droga klęcząc odmawiała głośno pacierze z dziatkami swemi, by oddać należyty hołd Stwórcy swemu... Widziała dalej w myśli siebie na pensyi — jako młodą, wraźliwą dzieweczkę.

Już tu powoli ronić zaczęła zasady religijne, wpojone jej wcześnie przez zacną matkę... Roniła je tak, jak róża biała traci liść po liściu po skwarnym upale bez kropli deszczu ożywczego... Wpływ źle wychowanych koleżanek i zakazanych książek działał jak upał skwarny na młodą jej i świeżą duszę... O, te książki zakazane dla młodych najciekawsze, — nocami je czytywała z koleżankami — z chciwością! — Wyszedłszy z pensyi, z równą namiętnością otoczyła się literaturą modernistów, która na ołtarz nie stawia Boga jedynego, ale realizm nagi i każe zmysłom dogadzać, lubieżnością żyć!

Gdyby nie ten jej zmysł piękna wrodzony i ta pogarda ku moralnej brzydocie — pytanie, coby się już dziś z nią

stało?! Co by to z nią się stało, gdyby nie była w tak zacnym domu pp. Wanieckich? I ten dom obecnie ma tracić? Tę jedyną przystań tak dla niej miłą, tak godną — bo przecież od paru lat jest sierotą bez dachu rodzicielskiego— i to sierotą ubogą... Jedynym jej skarbem to wiedza... ale czy ta wiedza sama wystarczy jako moralna podpora dla duszy? Nie! o nie! od dawna to pojmuje, odczuwa—ale trudno zwrot zrobić w pojęciach — jeżeli już te pojęcia zrosły się z duszą...

I znów ciekły łzy po bladej twarzy sieroty-nauczycielki.

Schody i sień górną przebiegły w tej chwili drobne stopy Wańdzi, stanęła w progu, uchylając drzwi pokoju Janiny:

— Jest tu pani? Tak ciemno... ale jest! Proszę do salonu, mama czeka, chce zapalić świeczki u drzewka...

— Przyjdę za chwilę, — brzmiała odpowiedź tłumionym głosem.

— Ale nie, zaraz proszę! — wołała dzieweczka, ciągnąc niecierpliwie za ramię Janinę.

Janina uległa naleganiu dziewczynki, zapominając, że łzy pozostawiły jeszcze ślady na bladej jej twarzy, że włos był nieco rozwichrzony, a tualeta jakoś zaniedbana.

Pani domu obrzuciła Janinę badawczym wzrokiem, dostrzegła wszystko; od dawna studyowała młodą nauczycielkę, lecz dziś nie znalazła odpowiedniej chwili jeszcze, by z nią pomówić sam na sam, prosiła ją tylko uprzejmie o zajęcie się żłóbkiem i drzewkiem.

Wkrótce otwarto szeroko podwoje salonu, a żłóbek illuminowany i rzęsisto oświetlone drzewko z cudnemi cackami ukazały się mieszkańcom dworu i maluczkim z skromnych wiejskich chat. Radość dzieci tłumił dźwięk dzwonka, który zwiastował ukazanie się strasznego gwiazdora! Wyszedł też z kąta starzec siwobrody, otulony w kożuch, a wypaliwszy oracyę do struchlałych dzieci, pogroził im rózgą i kazał zmówić pacierz. Gromada maluczkich rzuciła się kolanami ku ziemi — równym, miarowym głosem odmówiono Ojcze nasz — Zdrowaś Marya — Wierzę w Boga. Dzieci powstały na znak pani domu, obiecały być grzeczne przez cały rok następny — wówczas i gwiazdor wysunął się z salonu. Pan domu w tej chwili zaintonował wspaniały hymn „W żłobie leży". Harmonijnym, silnym chórem odśpiewano „Anioł pasterzom mówił" — lecz dzieci najmilej śpiewały „Gdy się Chrystus rodzi" — bo zdawało im się, że razem z aniołami nucą gloria, gloria in excelsis Deo, a święci pańscy z palmami w ręku idą w uroczystej procesyi ku ubogiemu żłóbkowi, gdzie spoczywa na sianku Król nad królami — w postaci skromnej niemowlęcia — *żywy Bóg, Jezus Chrystus, oczekiwany Zbawiciel świata!*

Janina słuchała i przypatrywała się z natężeniem całej tej wspaniałej, a tak miłej sercu uroczystości domowej — oczy jej znów zaszły srebrem łez...

O... wszak i ona kiedyś śpiewała jako dziecko przy żłóbku, z taką radością, z taką bezgraniczną wiarą w Boga żywego... Ogromna błogość rozlewała się wówczas w jej duszy dziecięcej... pamięta to dobrze... o pamięta doskonale... Dziś tylko niesmak ją ogarnia, straszne zwątpienie ssie duszę, pustka zalewa serce... Dreszcze wstrząsają jej ciałem... bojaźń o przyszłość przesłania jej myśl jasną...

Gdy pieśni ucichły — ocknęła się ze zadumy, gorliwie jęła pomagać pani domu w rozdawaniu podarków zgromadzonym dzieciom, które wpierw jednak wygłosiły deklamacye na temat „Żłóbek" — i humorystyczne bajki z nauką moralną. Obdarzona czeladź pochyliła się nisko do kolan dziedziców, dziękując pokornie za podarki. Wańdzia, ucieszona wymarzoną lalką w wspaniałym koszu, maszynką do szycia ubrań dla lalek i książkami illustrowanemi, rzucała się z radości na szyję i ojcu i matce — i kochanej pannie Janinie. Ale sierocie nauczycielce łzy ciekły i ciekły, a ocierała je ukradkiem w batystową chusteczkę. Spostrzegła je wreszcie i Wańdzia.

— Co pani? Panno Janino! — zawołała na wpół żałośnie, — niech pani nie płacze — tu przecież i dla pani są dary wspaniałe!

Pani domu wręczyła ładną, złotą bransoletę Janinie i kilka tomów najnowszych dzieł obecnej literatury.

— Za piękne podarki! niezasłużone! — szepnęła Janina pochylając się do ramienia pani domu, dziękując mile zacnemu gospodarzowi i opiekunowi jej zarazem.

Czeladź i wiejskie dzieci rozchodziły się powoli, gubiły w natłoku to orzechy, to pierniki, to książeczki, lub zabawki, któremi chłopcy wypchali sobie czapki, a dziewczęta fartuszki.

Wańdzia, zabrawszy swoje nowe skarby, pobiegła je umieścić w swoim pokoiku. Świeczki pogaszono, została cisza i ciemność w salonie, minioną uroczystą chwilę przypominał tylko zapach świeży rozchodzącej się żywicy z małego drzewka iglicowego. Służba jęła się krzątać około obiadu wigilijnego, składającego się z dziewięciu potraw; starym zwyczajem podesłała siano pod obrus śnieżysty, w kącie ustawiła snopek słomy. Wszak siano i słoma stanowiły posłanie Dzieciątka Jezus — więc o nich zapomnieć nie wolno w wieczór wigilijny. Przed panem domu ustawiono talerz z opłatkami — staropolskim zwyczajem dzielił się tym chlebem z rodziną i czeladką przed rozpoczęciem uczty wigilijnej.

Pani Waniecka widząc, że służba krząta się należycie, szukała Janiny, by ją otwarcie zapytać o troskę, która ją przygnębia. Znalazła ją w swoim pokoju, głowę brzemienną smutnemi myślami podtrzymywała dłońmi.

— Droga pani, — łagodnie odezwała się do niej pani Waniecka, — co pani dolega? Czy smutek, ukryty na dnie duszy — czy wspomnienia — czy troska jaka? Proszę być otwartą do nas — jak do swoich rodziców. Wszak pani wie, że ją wysoko cenimy dla jej zalet...

— Dla moich zalet? — pytała się trwożliwie Janina. — Tem boleśniej dla mnie! Jaki mi drogi państwa dom — nie umiem nawet opowiedzieć! Szanuję go bezgranicznie, to przystań dla mnie nieoceniona, dla mnie sieroty bez dachu rodzicielskiego — bez mienia...

— A więc... nie rozumiem... czy pani kto śmiał ubliżyć?

— O nie! stokroć nie! Serce mi się tylko kraje, że ja ten dom zacny opuścić muszę i rzucić się znów na pastwę losu...

— Jakto?! Przecież pani nikt miejsca nie wypowiedział... Wańdzia panią kocha, my cenimy jej zdolności, zasady....

— Zasady! — jęknęła Janina.

— A zasady, przecież pani należysz do osób dystyngowanych pod każdym względem — do osób wysoce moralnych!...

— O, potworem niemoralnym nie będę nigdy! Dla tego właśnie całą prawdę wyjawić muszę. Starałam się złe ukryć przed Wańdzią, by jej nie gorszyć, ale ona zaczyna spostrzegać... Niestety! nie mam dziś religii prawie żadnej...

— Co pani mówi?! — z przerażeniem zawołała pani Woniecka — tego nigdy u pani nie spostrzegłam!

— Walczyłam ciągle, czuwałam nad tem, by ukrywać nawet pozory najmniejsze braku wiary i religii. Nie chciałam gorszyć dziecka, ani zacnego domu państwa.

— To szlachetnie, wrodzoną posia-



Tyle dziś wszędzie gwaru i krzyku,
Dzieciom kazano usiąść w kąciku,

Lecz, gdy Bóg w górze gwiazdkę zaświeci,
Oj toż to będzie radość dla dzieci...

dasz pani szlachetność duszy. Ale zkąd się wzięło u pani tak młodej jeszcze to straszne zwątpienie?

— Z nauk modernistów! Przeklęta ta literatura, co mi duszę zatruwała, odebrała wiarę w Boga, w ideały prawdziwe, w nieśmiertelność duszy — w przeznaczenie człowieka ku szlachetniejszym, wyższym celom! Ona mi wydarła wszystko — nawet ten dach obecny nad głową!...

— Ależ, panno Janino, pocóż to rozpaczać? Szukajmy raczej rady...

— Nie znajdzie się żadna! Któż zechce trądem zarazić swoje dziecko?

— Słuszna uwaga — ale może ten trąd uleczalny? — Cenimy panią — kochamy jak córkę — będziemy ją leczyć.

Janina rzuciła się do kolan p. Wanieckiej.

— O dobra, zacna pani — niegodna jestem jej łaski! — Zarazę taką chyba leczyć trzeba długie lata... a może nigdy dusza moja nie wyzdrowieje...

— Jeżeli pacyent gorliwy — czas kuracyi będzie krótszy. Po świętach pojedziesz pani do Krakowa, do zakładu wychowawczego Panien Urszulanek, tam wykładać jej będzie religią Ojciec Stefan, znany z erudycyi i świątobliwego ducha. Ojciec ten wyłoży pani dobitnie na jakich fundamentach spoczywa nauka Chrystusa Pana. Poruszy on i filozofów pogańskich i chrześciańskich, wówczas przekona się pani, że nasza religia hołduje najwznioślejszym zasadom, jakie istnieć tylko mogą, że Mistrz jej Boski — Chrystus — jest nieskończenie świętym i wielkim Duchem — i że jest też *wzorem najdoskonalszym w wychowaniu człowieka.*

— Pani sądzi, że zdobędę tę wiarę gorącą i przejmę się zasadą religii, jak zdobywa i przejmuje się nią dziecko niewinne?

— Zdobędzie ją pani tembardziej im gorliwsze będą twe chęci, a tryumf będzie tem większy, bo oprze się na rozumie dojrzałej istoty. Ale proszę, niech sam rozum tu nie działa, ale idzie w parze z gorącem pragnieniem posiadania prawdziwej prawdy i wiary, bo wówczas przyjdzie nam z pomocą i łaska Boża. Bóg, panno Janino, nie byłby Bogiem, gdyby go człowiek słabym swoim rozumem pojąć mógł bez łaski oświecającej.

— Więc jadę po świętach, by zdobyć skarb, do którego wzdycham!

— Jedź pani po tę boską naukę, która wskaże ci drogi do spokoju na ziemi — do niebieskiej ojczyzny we wieczności!

Janina całowała dłoń swej dobrodziejki.

— Tyle darów dziś odbieram z tej zacnej ręki — w ten słodki — tajemniczy wieczór wigilijny Bożego Narodzenia... przy tym ubogim żłóbku...

— Ale w tym żłóbku ubogim spoczął Bóg — *Zbawiciel dusz upadłych i wątpiących* — dodała pani Waniecka, — tuląc do serca sierotę nauczycielkę.

Wichulec—Prusy Zach., d. 12. XII. 10.

W sprawie Rydzyny.

Z powodu artykułu naszego p. t. „Koniec Rydzyny“ („Praca“ Nr. 50) otrzymujemy od pana posła Dra Dziembowskiego doniesienie, iż niebawem ukaże się wyjaśnienie w sprawie rydzyńskiej, które stanowić będzie równocześnie odpowiedź na wszystkie twierdzenia poważnej prasy w tej sprawie.

Ze względu na to, uważamy za słuszne nie przesądzać na razie winy poszczególnych osób w sprawie rydzyńskiej zainteresowanych i zastrzegamy sobie wypowiedzenie zdania w tej materyi po zbadaniu wzmiankowanego wyjaśnienia.

Ku uczczeniu zasług

ś. p. prałata Wawrzyniaka wydała „Złota Skarbona,“ Kasa oszczędności w Poznaniu, Rybaki 6, pamiątkowy znaczek z portretem jego. — Jeszcze za życia zmarłego myśl ta powziętą została. Zarząd „Złotej Skarbony“ zwrócił się z nią do księdza prałata i uzyskał nietylko zezwolenie, ale i sympatyczne przyjęcie projektu.

Jednocześnie z wydaniem znaczków poczyniono starania o zastrzeżenie naśladownictwa. Znaczek ten 40 fenygowy służy do wlepiania w książeczki „Złotej Skarbony,“ zajmuje cztery pola, czyli miejsce czterech dotychczasowych znaczków, które i nadal będą w obiegu. Polecić je także można jako pamiątkę.

Znaczki „Złotej skarbony“ nabywać można w następujących składach: H. Błażejewski, św. Marcin 68. St. Chmielewski, W. Berlińska 54. J. Czepczyński, St. Rynek 8. St. Dressler, Śródka Rynek 12. W. Dworczak, N. Rynek 9/10. A. Dybicka, św. Marcin 61. A. Dzieciuchowiczowa, Rybaki 6. P. Dzikowska, św. Marcin 32. K. Ignatowicz, St. Rynek 67/69. H. Iłowiecka, Ces. Wilhelma 23. E. Iłowiecka, Strzelecka 23/24. W. Jagodziński, św. Marcin 34. L. Kałas, ul. Forteczna 18. J. Kamiński, Nast. tronu 12. T. Lewandowski, M. Garbary 8. Muthówna, Chwaliszewo 76. T. Neyman (W. Wojciechowski), św. Marcin 46. M. Okoniewska, Teatralna 6. B. Śniegocki, Rycerska 38. Z. Śniegocki, W. Berlińska 63. M. Stawujak, W. Garbary 4. J. Wawrzyniak, pl. Królewski 6. J. Wolińska, Szeroka 10. M. Wrzesiński, pl. Wroniecki.

W sprawie „Filarety“.

Aby zapobiedz dalszemu szerzeniu się pogłosek, jakoby „Filareta“ miał przestać wychodzić, donosimy, iż wieści te są pozbawione podstawy.

Pierwszy zeszyt *„Filarety“, Miesięcznika kulturalnego dla Młodzieży*, pojawi się w pierwszych dniach stycznia 1911 r.

Równocześnie donosimy o ważnych zmianach zaszłych w wydawnictwie; a mianowicie: „Filareta“ będzie wychodził nakładem p. Bronisława Ruczyńskiego w Poznaniu, który równocześnie obejmuje główne kierownictwo pisma. W komitecie redakcyjnym zasiadać będą oprócz wydawcy p. Marya Krzymuska (Theresita) i ks. Nikodem Cieszyński.

Ponieważ żadna z wyż wymienionych osób nie miała wpływu na redakcyę zeszytu okazowego „Filarety“, przeto nie przejmują niżej podpisani żadnej odpowiedziolności za treść owego zeszytu, a w szczególności za niefortunne i absolutnie nie zgadzające się z ich uczuciami i zapatrywaniami zwroty o „Kolorowym ułanie“, które zresztą sam autor (K. J. K.) w obu wielkich pismach poznańskich z ubolewaniem cofnął, uznając, że myśli swej, bynajmniej czci przodków naszych nie ubliżającej, nie zdołał wyrazić z należytą jasnością.

K. J. K. nietylko wystąpił z redakcyi „Filarety“ dobrowolnie, lecz z własnej również inicyatywy zrzekł się wszelkiego w „Filarecie“ współpracownictwa.

Co do charakteru pisma, zapewniamy uroczyście, że „Filareta“ omijać będzie najskrupulatniej wszelką politykę. „Filareta“ będzie pismem wyłącznie tylko kulturalnem, opartem na zasadach katolickich i narodowych. Nie będziemy popierać ani zwalczać żadnej partyi. I wszystkich ludzi dobrej woli, a przedewszystkiem młodzież naszą do współpracownictwa zapraszamy i zachęcamy.

Pragniemy służyć młodzieży polskiej bez względu na to, z jakim kierunkiem politycznym sympatyzuje, bez względu na to, którą zamieszkuje dzielnicę.

Obcy nam jest wszelki partykularyzm. Owszem jednym z główniejszych celów „Filarety“ będzie wytworzyć spójnię duchową pomiędzy młodzieżą trzech zaborów oraz bliższego i dalszego wychodźtwa. Najgłówniejszym zaś celem naszym będzie krzewić wśród młodzieży zdrowy idealizm, który jest zadatkiem przyszłej pomyślności naszej.

W przekonaniu, że hasła, które głosimy i którym się nie sprzeniewierzymy, są hasłami młodzieży naszej, zapraszamy do przedpłaty.

„Filareta“ kosztuje na pocztach 90 fen. kwartalnie, pod opaską wprost z redakcyi 1.10 mk.

O wczesne wpłacenie przedpłaty uprasza

Bronisław Ruczyński,
wydawca „Filarety“.
i
Komitet redakcyjny:
Bronisław Ruczyński. Ks. Nikodem Cieszyński. Marya Krzymuska (Theresita).

Adres Redakcyi „Filarety“: Poznań, ul. Rycerska 38.

Od Redakcyi: Na powyższe oświadczenie zwracamy uwagę naszych szanownych młodych czytelników i zachęcamy gorąco do prenumeraty, którą niezwłocznie należy wpłacić na poczcie.

Nowe wydawnictwo luksusowe.

Minęły już czasy, kiedy to ludowi polskiemu niemal podstępnie trzeba było wciskać do rąk książkę lub gazetę polską; kiedy książka do nabożeństwa, a w najlepszym razie jakie dziełko z pobożnemi rozmyślaniami zaspakajało wszelkie wyższe potrzeby duchowe naszego ludu, a kalendarz lub tania broszurka o duchach, strachach, złodziejach, opryszkach i t. d. starczyła na rozrywkę.

Pokaźny zastęp naszych czasopism ludowych, z których niektóre po kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy mają nakładu, świadczy, że jak na każdem polu tak i w dziedzinie kulturalnej i oświatowej naród nasz się podnosi i uświadamia. I gdy przed niewielu jeszcze laty czasopismo niemal wyłączną było świecką strawą duchową, którą się lud nasz raczył, (toż nawet bezpłatne Czytelnie Ludowe nie znalazły tego powodzenia, na jakie zasługiwały) to obecnie i pod tym względem wiele się zmieniło na korzyść. Lud nie tylko, że coraz więcej garnął się do abonowania pism polskich, których liczba stale wzrasta, lecz począł coraz częściej zaglądać do księgarń i kupować książki.

Rozbudzone przez gazety zamiłowanie do czytania, coraz szersze poczęło zataczać kręgi, coraz więcej ludzi ugięło pod swe słodkie jarzmo.

Gdy dawniej chłop czytanie uważał sobie niemal za pańszczyznę, którą odprawiał, bo ksiądz, nauczyciel lub dziedzic wcisnął mu do ręki pisemko lub książkę, dzisiaj sam z własnej nieprzymuszonej woli sięga po lekturę, odmawiając sobie niejednej drobnej przyjemności, innego rodzaju, by tylko zaspokoić zbawienną żądzę czytania.

Z tego pragnienia oświaty rozbudzonego przez gazety i starania ludzi dobrej woli do niedawna niemal wyłącznie korzystali obcy. Potężne niemieckie i żydowskie firmy nakładowe zalewały kraj swojemi wydawnictwami. Agenci rozliczni uwijali się po wioskach i miasteczkach naszych częstując lud obcemi wydawnictwami i wyławiając setki tysięcy marek dla swych panów.

Obecnie i pod tym względem nastąpiła naprawa. Powstało kilka firm wydawniczych polskich, zajmujących się rozszerzaniem zdrowej ojczystej literatury ludowej i — jak słyszymy — dobre robią interesy.

Do najstarszych tego rodzaju zakładów należy renomowany zakład Karola Miarki w Mikołowie, tudzież spółka wydawnicza „Katolik“ w Bytomiu, która tego roku wystąpiła ze wspaniałem dziełem popularnem ks. biskupa Bandurskiego o królowej Jadwidze. Pomiędzy młodszemi zaszczytne miejsce zajmuje ruchliwa firma Zd. Rzepecki i Ska w Poznaniu, której wspaniałe „Album Grunwald“ wykonano przepięknie w drukarni naszego pisma.

Poświęciwszy tym wydawnictwom swego czasu uwagę, dziś pragniemy pomówić o najnowszem wydawnictwie Karola Miarki w Mikołowie, o „Albumie królów Polskich.“

Jestto jedyne w swym rodzaju dzieło. Zawiera ono 40 barwnych portretów królów polskich wykonanych na tle złoconem. Jako wzór służyły znakomite obrazy Jana Matejki. Każdy portret nalepiony jest na osobnej karcie ciemnozielonego kartonu. Do każdego obrazu dołączony jest na osobnych kartach tekst objaśniający historyę każdego króla, tak że całość składa się na przepysznie ilustrowaną historyę Polski przedrozbiorowej. Również przydana jest karta z wyobrażeniem licznych herbów Księstw, województw i ziem polskich. Słowo wstęp-

Jowialski współczesny.

Miałem niegdyś przyjaciela
Niedawnemi laty —
Był on goły, ale za to
W przysłowia bogaty.
Chętnie dawał często bale,
Gdzie grano od ucha,
W myśl przysłowia, które mówi:
„Choć bieda, to... hu! ha!
Mnóstwo potraw tam bywało,
Oraz winnych — dostaw,
Bo przyjaciel mój był zdania:
„Zastaw się, a postaw!“
Nieopatrzny, nie miał zgoła
Przyszłości na względzie —
Machał ręką i powtarzał:
„Et, jakoś to będzie!“
Jakoś było rzeczywiście,
Dziś... łza oko rosi:
Prysło wszystko, bo „do czasu
Dzbanek wodę nosi.“
Teraz biedny mój przyjaciel,
Gdy i kredyt stracił,
Szepce: „Wszyscy tańcowali,
Jam skrzypka zapłacił!“

* * *

Za pieniądze wszystkiego dostanie.

— Oświadczam ci, mój teściu, stanowczo, że jak mi nie dołożysz pięciu tysięcy rocznie, to — jakiem baron — podam się do rozwodu.

— Ja sze zmartwie! Za takie ciężkie pieniądze, to ja sobie drugiego żęcza kupie!

* * *

Słuszne.

— Czy Iks nie jest twoim rodzonym bratem stryjecznym?

— Nieinaczej.

— A niedawno mówił mi, że jest tylko zdaleka z tobą spokrewniony?

— Słusznie. Wyrzuciłem go za drzwi!

Dowcipny siostrzeniec.

Do starego bardzo bogatego i bardzo skąpego wujaszka, przyjechał na wieś siostrzeniec. Pod wieczór tegoż dnia, gdy już siostrzeniec miał odjeżdżać, zerwała się burza i wujaszek rad nie rad musiał u siebie użyczyć młodzieńcowi noclegu.

— Gdzież ja ciebie tu ulokuję, mój drogi... Ciasno tu u mnie! — wymawiał się jeszcze sknera.

— O, wujaszku! — odrzekł wesoło młodzieniec — jest na to wyborny sposób i miejsce... Niech mnie wujaszek ulokuje w swym — testamencie!

* * *

W teatrze na prowincyi.

— Szanowna publiczność wybaczy, że z powodu braku togi rzymskiej, Juliusz Cezar wystąpi w mundurze straży ochotniczej miasteczka, w którem teatr nasz ma zaszczyt gościć.

* * *

Ciężko ukarany.

— A więc pan Stefan zawrócił głowę twojej Władzi?...

— A tak, lecz został za to ciężko ukarany...

— No, no?

— Musiał się z nią ożenić!

Rebus.



Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 29-go grudnia włącznie.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższego rebusa.

Rozwiązanie zagadki zamieszczonej w numerze 50-ym „Pracy“:

ŁATA ŁATA.

Dobre rozwiązanie nadesłali do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 15-go b. m. następujące osoby: pp. Ignacy Andrzejewski z Zaniemyśla, L. Borowski z Grodziska i Kazimierz Gawędzki z Berlina.

Nasz kącik.



Gwiazdor i dzieci.

Gwiazdor i dzieci.

„Ojcze nasz, Zdrowaś i Wierzę,“
Drżącym głosem i nieśmiało,
Ale serdecznie i szczerze,
Płynie z miłością nie małą.
Na czele idzie malutka,
Najmłodsza z gromadki dzieci:
„Gwiazdorku, grzeczna Helutka,
Daj tę chojenkę co świeci!
„Gwiazdorku, rózgi nie trzeba!“
Jaś mały, Stasia i Józio,
Tak proszą wysłańca z nieba,
Z wystraszoną nieco buzią.
„Ulżyj twym barkom, Gwiazdorku!“
Tak Zosia i Zbyszek proszą,
Pokaż, co masz tam w tym worku,
Co będzie naszą rozkoszą?“
Lecz Gwiazdor stary, rzecz znana,
Wprzód długie prawi morały,
Więc słów tych dziatwo kochana
Oj, słuchaj z duszy twej całej!

Paula Wężyk.

* * *

Nim dziś wieczorem Gwiazdka zaświeci...

Gdy na świat schodzisz Boża Dziecino
Ku Tobie ciche prośby me płyną:
Nim dziś wieczorem Gwiazdka zaświeci
Niech już nie będzie niegrzecznych dzieci,
Tych, co się kłócą, płaczą, grymaszą,
O, popraw Dziecię, tę dziatwę naszą!
U ognisk naszych niechaj zagości
Zgoda i cisza i wzór miłości,
Niechaj przezwiska zginą, przepadną!
Upór, co szpeci plamą szkaradną
Serduszek dzieci niech już nie brudzi,
Niech nam na dobrych wyrosną ludzi!
Gdy się to stanie, niech blask zaświeci,
Niech spłynie Gwiazdka do naszych dzieci,
A jeśli jeszcze w jakim kąciku
Posłyszy może gwar kłótni, krzyku,
Tam niechaj Gwiazdka pośle Gwiazdora.
O, jest u niego rózg wiązka spora,
Toć mu wystarczy, by skarcić dziatki,
Co nie chcą słuchać ojca i matki,
Te, co się kłócą wciąż bez powodu...
O chodź Gwiazdorze, chodź, by za młodu
Poprawić dzieci z grzechu, co brudzi,
By nam na dzielnych wyrosły ludzi!
Ciche me prośby do nieba płyną:
O, spełń je wszystkie Boża Dziecino
I — nim wieczorem Gwiazdka zaświeci,
Niech już nie będzie niegrzecznych dzieci!

P. Wężyk.

* * *

Powitanie Dzieciątka.

Dzieciątko Boże, my wszyscy mali
W serca pokorze Ciebie czekali!
Zanucim Tobie o nasz maleńki
Złożony w żłobie, śpiewki, piosenki.

My wiemy przecie, że Ty najwięcej
Kochasz, o Dziecię, światek dziecięcy,
Bo dusze białe i serca czyste
Największą chwałę nucą Ci, Chryste:

Jezu, Jezu, Dziecino,
Patrz, radości łzy płyną,
Serce bije i drży w łonie
I radością liczko płonie,
Że nadszedł nareszcie czas,
Iż jesteś znowu wśród nas.

Jezu, Jezu, gdyś z nieba
Spłynął tutaj, toć trzeba
Zamiast słomy i pieluszki
Słać Ci serduszka pod nóżki
I śpiewać i sławić czas,
Iż jesteś znowu wśród nas!

Hej, góry, rzeki, drzewa
Świat cały niech dziś śpiewa,
Niech rozbrzmiewa ziemia cała
Jezuniu, chwała Ci chwała,
Że nadszedł nareszcie czas,
Iż jesteś znowu wśród nas!

P. Wężyk.

* * *

Moje drogie dzieci! W myśli dzielę się z wami wszystkiemi chlebem Bożym, białym opłatkiem. Niech wam małe Dzieciątko Jezus teraz i zawsze błogosławi! Życzę wam wesołych świąt, cieszcie się niemi i bawcie wesoło, a złota Gwiazdka Betleemska, co ongi pastuszkom drogę wskazała, niech i wam zawsze jasno przyświeca, wskazując w życiu prawą drogę obowiązku i pracy, by w sercach waszych, mógł zawsze gościć spokój i zadowolenie. — Czy pamiętacie o wypracowaniu z nagrodami na temat odegranych w domu Jasełek? Przypominam wam teraz jeszcze, w czasie wakacyj znajdziecie pewnie czas do napisania listu, czem bardzo ucieszycie waszą serdeczną przyjaciółkę *P. Wężyk.*



KAMIENNA WOLA.

POWIEŚĆ.

15)

(Ciąg dalszy).

Pani Piotrowa, pełna prostej i głębokiej wiary matek naszych, prosiła wczoraj księdza plebana, aby im dał przed wyjazdem błogosławieństwo takie, jak dla ludzi puszczających się w drogę, to też po mszy skończonej wyszła z mężem i córką z ławki, klękli wszystko troje na stopniach ołtarza, a ksiądz, najbliższy sąsiad i przyjaciel ich domu przez lat kilkanaście, podszedł ku nim, wyciągnął nad ich głowami ręce i modlił się za nich do Boga: „aby ich droga wiodła do celu, była szczęśliwa, prosta, od pokus grzechowych i zasadzki złych ludzi wolna, aby wreszcie przywiodła ich z powrotem w progi domu, który opuszczają.“ Głos modlącego się był powolny, uroczysty, wyraźny, ale przy słowach ostatnich nagle drgnął i przytłumił się od łez, które gardło kapłana kurczowo schwytały, a choć lud klęczący nie rozumiał znaczenia wyrazów łacińskich, ogarnęło wszystkich wzruszenie jedno, i cały kościół ozwał się płaczem rzewnym. Ksiądz podał klęczącym patynę do ucałowania, po rodzicach i siostrze kląkł Jan, potem ludzie hurmem tłoczyć się zaczęli, a Jan żywo uprowadził matkę, aby biedna nie uległa zbytkowi wzruszenia. Powóz już ich tu czekał przed bramą i Jan skinął, aby zajęchał prędko, co też dobrze się stało, bo lud, który się wysypał z kościoła, chciał się teraz żegnać, i kobiety tak zaczęły zawodzić płaczem, że ksiądz pleban wyszedł i uspokajać zaczął. Ciśnięto się przecież ku powozowi przez furtkę cmentarną, kilka kobiet podniosło dzieci do góry, p. Piotrowa i Jadwiga zaczęły płakać boleśnie, a Jan widział, przez wilgotne również oczy, że ojciec schylił głowę i płakał też cicho.

Rodzice siedzieli w głębi powozu, Jan i Jadwiga na przedzie, i jechano w milczeniu, powoli, bo dzień był jasno wypogodzony i zaczęło się robić bardzo gorąco. Gdy przecież wjechano w las, pokazała się niedogodność druga, drobna niby, a jednak uciążliwa, a to, że drogą z Kamienia do Kamiennej Woli nie jeździł nikt powozem, i choć nie była wązka, ale zarosła, Jan zaś przy tylu zajęciach i kłopotach dni ostatnich, zapomniał o tem, żeby ją przeciąć i teraz gałęzie tak biły jadących, że trzeba było wciąż im się bronić i uchylać. Raz szczególniej jedna tak uderzyła p. Piotra, że Jan aż zawołał, aby stanąć i podnieść powóz, ale ojciec schwytał go za rękę i nie dał mu tego dokonać. — Wiedzą te gałęzie, co czynią — rzekł z goryczą — chcą bić, chcą smagać grzesznika starego, który jest wart, aby go biły.... Nie zaprzeczaj mi tego Jasiu — dodał żywiej, namiętniej — nie usprawiedliwiaj mnie zgoła.... wiem ja co mi się należy. Grzesznik jestem, grzesznik, który był leniwy i niedbały, zmarnował szczęście swoje, ukrzywdził dzieci, kraj, nie dopełnił tego, co mu Bóg przykazał. Każda gałąź rodzinnego lasu powinna ciąć mnie do krwi przez te plecy zgarbione, i wołać na mnie: pokutuj!.... Czy ja nie byłem jak jaki król między rzeszą bratnią, która nie wiedzieć czego płacze za mną? Czy nie byłem jak król na własnym zagonie ziemi, i cóż zrobiłem z tem całem posiadaniem mojem?.... Zmarniało mi w rękach, roztrwoniło się, rozciekło jak woda z beczki rozeschniętej.... O! umiem ja się sądzić teraz, bo gdyby nie ty Jasiu, nie ty dziecko moje uczciwe, kto wie jakbym był dziś obciążony i winny, kto wie z czyich rąk groszem kupionoby ojcowiznę naszą pradziadowską, kto stanąłby jako pan i naczelnik między tymi, których ja odstąpiłem?... Tak, dziecko! gałęzie powinny mnie smagać, a ja w worze zgrzebnym powinienem stać i bić się w piersi wołając: moja wina! moja wina!! moja bardzo wielka wina!!!

Nie prędko można go było uspokoić, bo gorycz tłumiona długo, wybuchła nagle i z przepełnionego serca wylała się na usta. Płacz żegnających go ludzi wzburzył go i rozdarł mu serce, w chwili zgryzoty obejrzał się w tył na życie swoje i osądził je, że było biernem, niedbałem, złem, przez brak dobra niedokonanego, przez lenienie się do cnót wyższych, a puszczenie się na małość cnót małych. Prawdą było, że los postawił go królem na kawałku królestwa, och! jak pięknego... a on — raz to trafnie powiedział synowi — sprzedał te królewskie prawa swoje za miskę soczewicy...

I soczewicy byłoby mu brakło na starość, gdyby nie ów syn, zwany dziś słusznie dzieckiem dobrem, synem uczciwym.

Gdy wyjechano wkrótce na pole Kamiennej Woli, upał już był mocny, to też potem uboga wioska i dworek niebielony wydał się zmęczonym jak jakaś przystań cicha, oaza gościnna, której piękno proste przedstawiło się też bardzo korzystnie. Podwórko było zielone jak łączka najpiękniejsza, dąb na środku wdzięcznie się oplatał powojem, dzikie róże kwitły kępami malowniczemi, a w koło drewnianych ścian dworku rozwijało się teraz mnóstwo kwiecia różnobarwnego i rezeda wonila w rozgrzanej atmosferze. Gdy Jan wprowadził rodziców wewnątrz, gdy ujrzeli stare, znajome sprzęty, ustawione symetrycznie i zdające się czekać na nich, gdy po długim nieporządku i rozstroju ogólnym, otoczyła ich czystość przyjemna i ład spokojny, z wrażeniem miłem wstąpiło w serce i jakieś uczucie pociechy. — Benisiu! — zawołał p. Piotr, otwierając ramiona — Benisiu! nam tu jeszcze dobrze być może!...

Jan już miał swoją siedzibę oddzielną, też ani przykrą, ani brzydką i tylko pycha szlachecka upokorzona być nią mogła. Janowi przecież ani to do głowy nie przyszło, a p. Piotr, trochę o to markotny, nie śmiał jednak wydać się z uczuciem swojem, które mimo to Jan pierwszego zaraz dnia zmiarkował i uśmiechnął się: — Jest to mój żołnierski biwak ojcze — rzekł wesoło — obozowisko na czas wojenny. Czyż nie wydaliśmy walki losowi, którego mamy ochotę zwyciężyć — dodał. Tu jest ojcze, kwatera główna, generalska, ja mam tam w lesie namiot adjutanta...

— Nie — odparł p. Piotr potrząsając głową — tyś generał, wódz naczelny, a ja ciura stary...

To poczucie się do winy, to uznanie się w niej szlachetne, dziwnie podnosiło postać i charakter biednego pana Piotra, podnosiło go mimowoli, nawet w szacunku synowskim, bo cóż zrobić, aby syn nie sądził, wtedy nawet gdy kochając, nie wyda nigdy wyroku surowego? Jan kochał bardzo starego swego ojca, którego wady i słabości niemniej znał, i czuł też niewypowiedzianie wzruszającą go piękność tej natury z gruntu uczciwej, która gdy do samowiedzy przewinienia swego przyszła, nie chciała usprawiedliwiać się sofizmami, nie zacięła się hardo w upartem obstawaniu przy swojem, fałszując pojęcie prawdy dla osobistej swej pychy, ale przeciwnie z tą pokorą, która jest wzniosłą dobrego ducha zacnością, ukorzyła się przed sobą, przed Bogiem i ludźmi, ustępowała miejsca tym, którym słuszniej przypadało pierwszeństwo, nie drapując się dumnie w swoje prawa utracone. To też niezmiernie wzruszającą była scena między ojcem a synem, gdy ten ojciec na drugi dzień po nowych osiedlinach swoich wziął syna na bok i powiedział mu, że ma do niego prośbę wielką. — Nie odmów mi jej Jasiu — mówił, patrząc prosząco w oczy synowskie — nie odmów, jeżeli kochasz trochę. Oto niech ja ci dziecko ciężarem nie będę, niech ja darmo chleba nie jem... Daj mi kochasiu, jaką pracę, wyznacz robotę jaką, choć karbowego... Potrafię, potrafię kochasiu... jeszcze z laską dobrze chodzić mogę.

Jan rękę ojcowską schwycił; on wzruszony do głębi mógł był biednemu starcowi do kolan paść i przysięgać, że z miłością, rozkoszą, ze szczęściem najwyższem nie tylkoby pracował na niego, ale w razie potrzeby na plecachby go swoich nosił, nie dając się wyręczyć nikomu w dźwiganiu tego brzemienia drogiego, ale nie chciał starca wzruszać nad miarę. — Ojcze — zawołał też jedynie — ojcze, nie mów tak do mnie nigdy... Najpierw ty mi ciężarem nigdy być nie możesz, powtóre ty tu jesteś na swojem. Tak ojcze, ty jesteś tu z matką u siebie, a twoje dzieci pracują w koło was dwojga, jak pszczoły w ulu koło królowej swojej. To naturalna i prosta kolej porządku życiowego, ale wracając do rzeczy, jakżeż przypuszczasz ojcze, żeby tu nie miało być roboty dla ciebie?... Och!... żeby o to kłopot... dodał z uśmiechem poczciwym. Nawet ojcze, mam na ciebie wyrachowanie niejedno.

I konceptując żywo, wynalazł naprędce zajęć mnóstwo, które ojcu z taką poważną twarzą i poważnym głosem wyliczał, że nieborak stary wierzył w niezbędność swojej osoby w Kamiennej Woli. — Ja tu ojcze dla tego tylko zdaleka dojeżdżać mogę, że ty na miejscu jesteś — mówił z miną przejęcia wielkiego. — Dobra to maksyma stara, że pańskie oko konia tuczy, to też ty ojcze, musisz najpierw to pańskie oko mieć na wszystko, na ludzi i inwentarz, powtóre liczyłem na to, że mi czasem pomożesz do ludzi w pole zajrzeć. Oto teraz będą wkrótce łąki siec, a ja ojcze, jak wiesz, ekonoma wcale nie mam, tylko jest dwóch karbowych i ja sam...

— Dobrze, dobrze, kochasiu!... odparł p. Piotr żywo— dobrze bardzo... Będę ci na łąki chodził, będę codzień sam pilnował, jak inwentarz poją, jak mu jeść zakładają. Wiem, że Walenty człowiek sumienny i przywiązany, aleś dobrze kochasiu powiedział, że pańskie oko wiele znaczy... bo zkądże ktoś ma dbać więcej o dobro nasze, niźli my sami? Jam się zanadto na ludzką posługę spuszczał — dodał, smutnie głową kiwając — za małom sam czynności osoby mojej dawał. — Ale teraz chcę pracować — kończył z ożywieniem nowem — chcę przeszłe winy zgładzić, odpokutować za nie ile można i niech ci za to Jasiu Bóg płaci, że mi do tego sposobność zostawiasz....

Jan pojmował stan duszy ojcowskiej; czuł, że zmartwienie, zgryzota, pożarłyby go wkrótce, gdyby mu brakło tego, co sobie sposobnością zagładzenia win nazywał. Bezczynność zabiłaby prędko p. Piotra i syn chciał mu dać pole do pracy jakiejkolwiek, choćby fikcyjnej. W Kamieniu i za dni szczęśliwych mógł poczciwiec nic nie robić i bawić się w próżnowanie spokojne. Władysław niewiele gospodarował, ale to, co się w Kamieniu gospodarowaniem samego pana zwało, jako tako spychał: słuchał co mu ekonom i karbowi podadzą względem dyspozycyi robót na jutro lub pojutrze, na zapisywaną przez ekonoma robociznę okiem rzucił, zesumował razem podany mu przez tegoż wykaz wydatków koniecznych, odtrącił, urwał z owego wykazu, co się urwać dało, i szło tak, póki jak wiemy nie padło ostatecznie, lecz p. Piotr mógł się jeszcze przytem wieszać, przyjemnie czas zabijając. Po rannej kawie, po rannej pogawędce z Benisią, wychodził sobie z laską „do gospodarstwa,“ a każdy krzak, płot, każda twarz ludzka, zajmowały go i miały dla niego swój interes właściwy, właściwe zajęcie budzący. Od bociana na starej lipie, do młodego jesionka, który pod spichrzem między kamieniami wyrastał, wszystko ciągnęło go do siebie, jak znajomości stare: jesionek okopał i dał mu podporkę, do bociana się rozśmiał i głową na niego kiwnął, a dzień za dniem schodził, a raczej upływał, tak łagodnie przemykała się fala życia, które urozmaiciło się stosunkiem z sąsiadami. Ale w Kamiennej Woli już by tak nie było, już by tak być nie mogło: świat to był stosunkowo obcy, nieznany.

Przytem p. Piotr chciał teraz pracy, pracy pragnął, choć pracować istotnie nie umiał i już by się tego nauczyć nie potrafił, ale Jan nie chciał mu odbierać płynącej stąd pociechy, że się nad dawne lenistwo dźwignął. Prócz względów innych, miał on do tego powód ten jeszcze, że widział w tem duszną ojca potrzebę, bo Jan był szczerym chrześcijaninem i wierzył w to, co mu katechizm do wierzenia podawał, że żaden grzech odpuszczonym nie będzie, dopóki wraz z aktem skruchy akt zadosyć uczynienia dokonanym nie zostanie.

— Trzeba Jadwisiu, aby się to czoło drogie uznoiło niekiedy — mówił też potem do siostry, gdy wieczorem rodzeństwo siadło radzić nad życiem, które przedsięwzięło — trzeba najdroższa... Ty wiesz, że ja bym dla szczęścia rodziców, dla ich dźwignięcia poszedł kamienie na szosie rozbijać, ale każdy duch ludzki ma swoją własną drogę zbawienia. Ojciec żąda pracy, jako zadosyć uczynienia za przeszłość i nam nie należy bronić mu tego. Nietylko trud fizyczny wysila i źródło życia podkopuje, bo lepiej nieraz ciałem się zmęczyć, jak sercem w nieczynności gorzknąć, przytem Jadwisiu, ja wierzę w takie duchów odkupywanie, jak we śnie Jakóbowym było wstępowanie anielskie po drabinie promienistej....

Więc też p. Piotr zaraz od początku zabrał się pracować jak mógł i umiał, a nawet nad spodziewanie tej pracy uczyć się zaczął, choć nieraz Jan nie mógł uśmiechu powstrzymać, gdy go widział drepczącego koło obór i stajni, koło szop i lamusu. Nieraz garstkę trawy z ziemi podniósł, stęknąwszy przytem na krzyże i niósł ją albo do kupki większej, albo jakiemuś bydlęciu na pokarm podał. Utkwiły mu w myśli słowa Jana o oku pańskiem i dojrzenie inwentarza, przychówek młodzieży, wziął sobie za specyalność swoją, i coś na czwarty dzień po przybyciu do Kamiennej Woli do agronomicznych książek Jana się dobrał, przez okulary zaczął pilnie czytać rady i wskazówki w przedmiocie żąda-

nym. a zaraz wieczorem wyzwał syna na uczoną o tem dysputę. Jan rękę ojcowską do ust miłośnie poniósł i bardzo tkliwie, bardzo serdecznie ucałował, a p. Piotr rzekł mu z ambicyą pewną.

— Będę się uczyć kochasiu, będę... Nauka, jak powiadają przecież, do samej śmierci jest potrzebna...

I życie to nowe zaczęło się pod dobrą wróżbą usiłowań zacnych, w malutkim dworku było bardzo skromnie, ale jeszcze nie ciężko, nie boleśnie, a gdy pierwszego dnia po przyjeździe usłyszano o zachodzie słońca dzwony w Kamieniu dzwoniące, pani Piotrowa rozpłakała się na poły ze smutku, na poły z radości. — To w Kamieniu dzwonią, dziecko drogie! zawołała na Jadwisię, a łzy jej dziurgiem po twarzy pobiegły, jak gdyby usłyszała głos jakiejś istoty drogiej i weszło to już potem w zwyczaj na owo dzwonienie z po za lasu w dworku Kamiennej Woli czekać, nasłuchiwać go i radować się zawsze gdy się rozległo. Bywało tak w południe, bywało wieczorem. — Dzwonią! wołała matka, lub córka, a potem i służba, najczęściej Wincenty stary i słuchano dzwonów dalekich, jak muzyki rozkosznej, po której modlitwa szła goręcej z serca wzruszonego. Gdy pani Piotrowa obudziła się czasem przededniem i słyszała ranne na pacierze dzwonienie, opowiadała to potem jak rzecz miłą, która jej się przydarzyła. — Po rosie dzwony mają dźwięk dziwnie piękny — mówiła z przyjemnością — dziwnie za serce chwytający....

Nie myślała biedaczka, że to głos ukochanej, a straconej rzeczy tak za serce chwyta, że to tęsknota rzewna, tak to ukochanie stracone czarownie pięknem czyni.

Przybycie do Kamiennej Woli wypadło we wtorek, tydzień więc blisko już tam upłynął, gdy w następny poranek niedzielny pani Piotrowa zapytała męża. — A jak my kochanku, do kościoła pojedziem?

— Trzeba będzie tak się ztąd wybrać koło dziesiątej, aby przed pokropieniem na sumę trafić — odparł p. Piotr, ale naraz zmieszał się i zakłopotał. — A nuż Oktabowicz i ławkę naszą zabierze? zapytał syna, który już był u rodziców, i przy śniadaniu z nimi siedział. — Gdzieżby tedy matka z Jadwisią siadły? Czy w ławkach na kościele? Chyba w ławkach na kościele....

Są różne kolce drobne, które niemniej bardzo boleśnie kolą i każde nieszczęście wielkie, tysiącem takich kolców jest nabite. Po pierwszym ciosie, który straszliwie uderzy, przychodzi na nie kolej dopiero i jedno z ukłuć podobnych żgnęło teraz biedne serce p. Piotra. Ustąpił z wioski, z domu rodzinnego i już to przecierpiał, a teraz nagle przyszła kwestya ustąpienia jednego jeszcze, na które mu serce krwią zabiegło. Ławka kolatorska, była jak zwykle bywa, koło wielkiego ołtarza, po jego stronie lewej, na przeciwko zakrystyi, gdy dwa rzędy ławek innych znajdowały się już na kościele dalszym. Tak zwane obywatelstwo, właściciele dóbr okolicznych siadywali w jednych; średni stan parafii, z rodzin dworskich oficyalistów, propinatorów, rzemieślników złożony, zajmował drugie. W ławkach obywatelskich zwykle pierwsze rzędy zajmowały panie, dalsze panowie; panny ustępowały pierwszych miejsc mężatkom, cofając się do ławki następnej w miarę przybywania osób nowych, co sprawiało, że miejsca nieraz kilkakrotnie zmieniły posiadaczy, bo pannom znowu ustępowali panowie, ale odbywało się to w sposób cichy, zwykle przed nabożeństwem jeszcze i nie gorszyło nikogo, bo najpierw zwyczaj był przyjęty, powtóre zasadę rzeczy stanowiło staroświeckie uszanowanie wieku i położenia. Tylko kolatorska ławka zostawała na prawach wyjątkowych, nikt jej nie zajął nigdy, choć bynajmniej zamykaną nie była; leżały w niej na klęczniku nienaruszone przez nikogo poduszki, których nie było w ławkach innych, w zimie wyściełała deskę podłogi wilczura, po którą regularnie z pierwszym mrozem przychodził dziadek kościelny i dostawał od p. Piotra pół korca pszenicy na placki za straż nad kolatorską ławką. Z wiosną wilczura odnoszoną znów była do dworu i wtedy p. Piotrowa zwykle coś ze śpiżarni dawała. Jeżeli rzadkim wypadkiem państwa Piotrowstwa w niedzielę na nabożeństwie nie było, nikt w ich ławce nie siadał i zostawała pustą. W górze na ścianie wisiały zapylone wizerunki stare, portrety dawnych panów kamieńskich, którzy byli dobrodziejami kościoła czy do uposażenia majątku kościelnego, czy do jego budowy się przyłożyli

Ale Oktabowicz wszedł we wszystkie prawa dziedziców Kamienia, mógł więc i ławkę ich zająć. P. Piotr ujrzałby tam postacie obce, zasiadające pod portretami rodzinnemi, a on i jego żona zeszli by dalej, na bok.... Wszyscy by patrzyli na to i żałowali ich, wszyscy litowali by się nad nimi.....

— Jasiu! zapytał też raz drugi niespokojnie -- gdzieby siadła matka z Jadwigą?

Kolec drobny, malutki, a jednak kolnął mocno i Jana. -- Gdzieby siadła matka i Jadwiga?... powtórzył i zmarszczył brwi. Zły jakiś ferment wydostał mu się nagle z głębi serca, ferment dumy osobistej i pychy szlacheckiej. Podniósł czoło jak młody jeleń, gdy chce rogów nadstawić i zarumienił się. ale natychmiast wystąpił mu na usta uśmiech wesoły. — Nie będzie tego ojcze — rzekł — ręczę, że nie będzie... Dzisiejszy Oktabowicz. to nie ten dawny gwałtownik grubijański, który bódł zuchwale. Rzeczy stały na kant i tak być musiało koniecznie, ale dziś tak nie jest.... Pani Jackowa zajmująca miejsce mojej matki.... cóż znowu!.... Jest tam ojcze, w Kamieniu ktoś taki. któryby się zapłakał chyba na śmierć. gdyby coś podobnego tylko stać się miało....

Rozśmiał się znów, a raczej uśmiechnął, bo postać Felisi w oczach mu stanęła. Biedna Felisia!... jak błękitne jej źrenice były by od razu łez pełne na sam projekt taki...

— Zatem kochasiu. zadysponuj z łaski swojej. aby konie były na dziesiątą gotowe — rzekł uspokojony p. Piotr do syna — pojedziemy....

Pojechano zatem do kościoła. przebyto pierwsze doświadczenie tego smutnego uczucia, które pierś ściska, gdy widzimy się gościem w miejscach, któreśmy niegdyś domem naszym zwali, ale było to przejście nieuniknione i przebyto je cicho, tłumiąc w piersi westchnienie, aby się nie rozżalać wzajemnie, nie rozmiękczać sobie serca na próżno.

Panu Piotrowi zamajaczały obrazy z lat dziecinnych i młodzieńczych, postacie ojca, matki i Benisi młodej, potem rój dziatwy jasnowłosej, tak biegającej po dziedzińcu dworskim, jak on tam biegał, Piotrusiem będąc, i na prawdę wydało mu się, że chyba umarł i duchem się od ciała oderwawszy, z innego świata patrzy na ten kąt ziemi rodzinnej, który ktoś inny po nim zajął i na swoją własność obrócił. — Benisiu! — zawołał — czy i tobie się tak zdaje, że to wszystko co jest teraz, śni ci się tylko, że to być nie może, aby tam — i w stronę domu pokazał — ktoś inny teraz mieszkał, żył, po pokojach tamtych chodził? Mnie tak kochasiu jest właśnie i prawie się za rękę szarpię, abym się obudził... Chciałbym trzeć oczy, trzeć i przetrzeć je sobie....

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jan Ramzau.

ROMANS MARYNI.

POWIEŚĆ NA TLE ŻYCIA WIEJSKIEGO.

Drukowana w popisowym numerze popularnego czasopisma „Touche à Tout.“

15) PRZEKŁAD Z ORYGINAŁU.

(Ciąg dalszy).

Zdjęła zwolna kapelusz, położyła go na stole, nic nie mówiąc, poczem zauważywszy, że Kasia idzie do swego pokoju, udała się za nią.

Tam, gdy się znalazły sam na sam naprost fotografii Bertranda, który zdawał się smutnie uśmiechać ze swej niby szyldkretowej ramki, Marynia rzekła:

— Mama nie chce zostać przy mnie jutro?

— Nie mogę, — odparła pani Bruscailowa słabym głosem.

— Dla czego? Wszak mama nie potrzebuje wcale jechać tak nagle do Bordeaux?

— Owszem.

— Co, może mama jedzie odwiedzić syna?

— Tak, jadę go odwiedzić; jest chory.

— Chory? — szepnęła Marya, drgnąwszy zlekka: — doprawdy chory?

— Pisał do mnie; chce mnie widzieć, muszę więc jechać...

— Ach!

Marynia zbladła. Bezwiednie oczy jej padły na fotografię, jak gdyby chciały wybadać sekret tej nagłej choroby. I rzekła nieśmiało:

— Ale to chyba nic niebezpiecznego? Cóż mu jest? Czy pisał?

— Nie; nic mi nie wyjaśnił.

— A pomimo to mama jedzie? Ach, mamo, ten wyjazd mamy dzisiaj wydaje się dość dziwnym. Co sobie o tem pomyślą w Guiche? A Cypryan wie o tem?

— Nie wie jeszcze; jest w Bayonnie; pojechał pociągiem o ósmej dla przynaglenia swojego krawca. List z Bordeaux nadszedł o dziewiątej. Ojciec mu wytłomaczy, dla czego pojechałam.

— Będzie się wściekał!

— Eh, obejdzie się tu bezemnie.

— Tak mama sądzi? W dzień intercyzy syna mamy?.. A ja... mama przypuszcza, że mnie to będzie na rękę?

— Przebacz mi, moja panno Maryo... Ale widzisz, kiedym otrzymała ten list od Bertranda...

I twarz Kasi zmarszczyła się, a łzy już miały wytrysnąć.

— I cóż on pisał w tym liście?

— Proszę przeczytać, oto jest! — odparła Kasia, wyciągając list z kieszeni, z tej samej, w której miała różaniec.

Z jakiem wzruszeniem Marynia wzięła ten list do ręki! „Niech mama przyjeżdża, proszę, jestem chory i chciałbym mamę zobaczyć....“

I to on sam pisał? — zapytała z niepokojem w głosie.

— Naturalnie że sam.

W istocie, Marynia poznawała pismo; była to ta sama ręka, która skreśliła obie daty na kopercie z rękawiczką. I wzięła ją chęć przyciśnięcia ust do tego listu, przysłanego przezeń, listu, na który oczy jej patrzały, który był dotykany przez jej palce.

Rzekła, ażeby przeciwdziałać samej sobie:

— Ale któż mamie powiedział, że ten list mówi prawdę?

— Mój syn nigdy nie kłamie, moja panno Maryo.

— No tak, ale kto się znajduje w takim stanie, jak on...

— W jakim stanie?

— Nie chciałabym mamie robić przykrości, ale po tem wszystkiem, com słyszała, zdaje się, że syn mamy...

— Ach, może i panna Marya przypuszcza, że on jest waryatem?

— Jakto? Więc nie jest waryatem?

— Nigdy nim nie był!

— Więc w takim razie...

— Wszystko to są bajki... Bertrand jest przy jaknajzdrowszych zmysłach.

Marya drżała. Słowa Kasi wrażały się w jej serce, jak uderzenia siekiery w żywe drzewo. Bertrand nie jest waryatem? Czy podobna? Zdjęła ją straszna ciekawość; a chcąc zmusić Kasię do mówienia, pozwoliła sobie jeszcze raz wyrazić powątpienie co do intelektualnego stanu Bertranda.

— Jednakże, — mówiła, — on chciał skrzywdzić swego brata, i przyzna pani, że jeżeli nie jest waryatem, to w każdym razie odwiedzanie go nie może być rzeczą bezpi...

— Co? Mój Bertrand ma być niebezpiecznym? Ach, Boże, toż to baranek!

— Baranek, który bił Cypryana i wrzucił go do wody...

— Może miał swoje przyczyny, — szepnęła Kasia głuchym głosem.

— Ach! I jakież...

— Bo ja wiem!

— Ach błagam mamę! Niech mi mama powie wszystko o Bertrandzie... Gdyby mama wiedziała... I jakież mógł mieć przyczyny do napaści na Cypryana?

— Miał przyczyny! — odparła Kasia w sposób tajemniczy.

— Jakie? Dla czego mi mama nie chce powiedzieć?

— Nie mogę.

— Dla czego?

— Bo to są tylko moje przypuszczenia... Bertrand nigdy mi się nie zwierzał... To ja sama sobie uroiłam...

— No, ale, co mama sobie uroiła... Niech mi mama powie!

— Nie mogę.

— Ach, błagam!... Zaklinam mamę na klęczkach... Proszę, mamo, wszak ja mam być córką mamy...

— Tobie mniej niż komu innemu.

—Dla czego mniej, niż innym?

Kasia nie umiała odpowiedzieć. Zlękła się, czy nie powiedziała za dużo. Wybąkała tedy:

— Bertrand miał żal do brata za tę ranę, która go tak zeszpeciła.

— Jakto? Więc to Cypryan zeszpecił Bertranda?

— Tak jest, Cypryan... uderzył go kulą drewnianą... O, nie naumyślnie! Grali w kręgle...

— Nie wiedziałam, że to Cypryan, — szepnęło dziewczę, w której wzroku znać było niezwykłe wzburzenie umysłu. — No, ale jeżeli Cypryan nie zrobił tego umyślnie, to nie przypuszczam, ażeby człowiek, obdarzony zdrowemi zmysłami, mógł się zapomnieć aż do popełnienia...

— O, niezawodnie była i inna jeszcze przyczyna! — powtórzyła Kasia oschłym głosem.

— Ale jaka?

— Nic nie wiem.

— No to ja wiem! Wiem, wiem! — rzekła Marynia, zrywając się nagle. — I ja także pojadę odwiedzić syna pani!

— Bertranda?

— Tak, Bertranda!

— Ach, wielki Boże!... Co też pannie Maryi przychodzi do głowy.

— Ja to mam już w głowie od dni kilku!

— Ależ, nieszczęśliwa...

— Tak, nieszczęśliwa! Słusznie pani mówi! Nieszczęśliwa, bom się pomyliła. Ach, mamo, mamo, ja ko kocham.

— Kogo? Bertranda?

— Tak, Bertranda! Kocham go od lat sześciu, od czasu, jakem go poznała. Jego to kochałam w panu Cypryanie. Myśląc, że pan Cypryan to on, przystałam na nasz związek...

— Co ty mówisz, Boże wielki!

— Mówię prawdę! Prawdę, która mnie dusiła!

— Ależ to okropne! Teraz, kiedy ten związek został postanowiony...

— Przebaczenia, ale dłużej nie mogę... Dziś, gdy wiem, że on nie jest waryatem, że jest chory, dłużej nie wytrzymam. Jedźmy, mamo! Będę ci towarzyszyła do Bordeaux. Domyślam się, że to ja jestem przyczyną wszystkiego, co zaszło. Bertrand kochał mnie, jestem tego pewna. Dla tego chciał zabić swego brata, dla tego pozwolił się zamknąć. Kochał mnie, dotąd może kocha mnie jeszcze... O mamo, gdybyż mnie kochał! Jedziemy, dobrze, jedziemy?

— Nie, panno Maryo, ja już nie pojadę! — rzekła Kasia, spuszczając głowę. — Toby zrobiło za wielki skandal. Zostaję.

— A więc ja pojadę! — oświadczyła Marynia z pięknym gestem decyzyi niewzruszonej.

— Ależ, gdyby teraz Cypryan zachorował?

— A jeśli Bertrand umrze?

— O, mam nadzieję, że nie umrze... Bo i dla czego miałby umierać? A może to nie prawda, że on kocha pannę Maryę?

Marynia westchnęła. Słowa te spadły na nią jak deszcz lodowy.

— Ma pani słuszność! — rzekła, zamykając oczy. — Może to ja sama tylko tak kocham...

— Lepiej byłoby więc nie jechać, nieprawdaż?

— Tak, lepiej!... Do widzenia pani, — rzekła Marynia, biorąc kapelusz — niech pani będzie spokojna — nie pojadę.

— I cóż panna Marya zamierza uczynić?

— Sama jeszcze nie wiem... O, jestem bardzo nieszczęśliwa! Wrócę do Samów. Niech pani nie mówi nic o tem panu Cypryanowi, jeżeli go pani dziś zobaczy... Nie chciałabym mu zrobić przykrości... A jednak, od chwili, kiedy wiem... Żegnam panią... Pozwól mi pani pocałować się jeszcze!...

W kilka minut potem, Marynia odeszła. Przechodząc przez aleję platanów, słyszała głos Bruscaila, który gromił jednego z parobków na pobliskiem polu. Przyspieszyła kroku, ażeby jej nie spostrzegł.

Przybywając tu, nie spodziewała się, iż powracać będzie tak prędko, Ponieważ odesłała była bryczkę z Berdillonem, wypadło jej tedy wracać pieszo lub koleją. Wahając się, spostrzegła jakąś drobną niewiastę całą w czerni zmierzającą w stronę Biduzy w towarzystwie sługi, która niosła walizę. Poznała w niej Kasię.

— Jedzie więc! — rzekła do siebie. — Jedzie jednak do Bordeaux. A ja, cóż? Czemuż bym ja nie miała pojechać? Dla czegoż miałabym dotrzymać swojej obietnicy, skoro ona nie dotrzymuje swojej?

Ach, Bertrand! Bertrand chory i to może z mego powodu! Bertrand ozdrowieje może, gdy się dowie, że jest kochany przezemnie!

— Niech się co chce dzieje! Jadę także! — szepnęła Marynia.

I podążyła tą samą drogą, co Kasia.

Gderać będę na nią. I cóż z tego! Chciała wiedzieć; chciała poprosić Bertranda o przebaczenie za wszystko, co wycierpiał; chciała pomówić z nim o dawnych czasach, o łące, o pocałunku, o rękawiczce, o tej rękawiczce, którą przed wyjazdem ukrył był pod deską podłogi, a która krzyczała do niej głosem, odczutym przez jej serce: „On cię dotąd kocha! Jedź, jedź! Będziecie szczęśliwi!“

— Tak, jadę! — powtórzyła Marynia, przyspieszając kroku.

Dla czegóż miałaby się wahać? Byłaby to właśnie wyborna okazya do niezjawienia się jutro na tę intercyzę. Nie mogła teraz zaślubić Cypryana, gdy wie o wszystkiem. Nie miała dla niego ani odrobiny serca, miała dlań jedynie wstręt, odrazę. Bo i cóż to za brat, co zmusił Bertranda do ucieczki, do pozostawania w domu waryatów? Czy nie on był raczej kryminalistą? A ona miałaby zostać żoną tego kryminalisty?... Nie! Zanadto pogardzała by sama sobą! Życie jej byłoby jednym ciągiem wyrzutów sumienia!

I szła coraz prędzej w kierunku dworca kolei.

Nagle przyszło jej na myśl:

— A matka moja? A Mimi?

Wtedy skręciła przez skalisty wzgórek w stronę Burgady, ażeby dostać się na pocztę.

I tu drżącą ręką skreśliła na karcie te słowa:

Guiche, 11 zrana.

„Nie czekajcie na mnie dziś wieczorem; może nie wrócę... Nie lękajcie się niczego. Jestem z panią Bruscailową.

Marya.“

Po wrzuceniu tej karty do skrzynki pocztowej, zeszła znowu w dolinę, na przystanek z Guiche, którego skromny domek tworzył wśród łąk czerwoną plamę.

— Żeby się tylko nie spóźnić! — mówiła do siebie.

Zdaleka, od strony Peyrehorady, słychać było turkot. Widocznie pociąg się zbliżał. W istocie dym lokomotywy ukazał się ponad lipami z Samów.

Ale Marynia była już na przystanku.

Ledwie tyle miała czasu, ażeby kupić bilet do Bordeaux tam i z powrotem i wsiąść do pierwszego lepszego przedziału...

W Bayonnie dopiero zdołała połączyć się z Kasią.

— Przepraszam mamę! Nie mogłam się oprzeć... — rzekła. — Pobiegłam za mamą. Zobaczymy go razem.

Pani Bruscailowa oniemiała poprostu. To nagłe ukazanie się panny Maryi tak ją zmieszało, że przez jakąś minutę nie mogła wyrzec ani jednego słowa.

— Niech się mama nie gniewa! — powtarzała Marynia, tuląc się do niej bojźliwie, jak dziecko, poczuwające się do winy.

I pociąg bordoski potoczył się zwolna przy radosnym okrzyku swej lokomotywy.

XII.

Ach, jak wyraźnie gwizdały teg dnia lokomotywy na dworcu św. Jana!

Bertrand słyszał je ze swego łóżka; a ich głosy tak znane, kołysały go we śnie. Zdawało mu się, że te lokomotywy mówią mu o jego stronach. Niektóre z nich napewno przybywały ztamtąd, przecięły dolinę Gawu, spostrzegłszy w przelocie Biduzę, ruiny w Guiche i gloryetkę Budy, która swoim szczytem osłania niejako dom cały od słońca, jak parasolka! I te gwizdy przenikliwe mówiły: „O, piękny kraj! prześliczny!... Bertrand, wydobądź się ztąd jaknajprędzej i jedź go zobaczyć! To ja cię tam zawiozę!.. Wydobądź się!...“

Chciał był serdecznie pójść za radą poczciwych maszyn; ale zdrowia nie odzyskiwał dotąd; przeciwnie.

Na cóż cierpiał? Lekarz mu nie mówił, na co. A nawet ten lekarz zdawał się przypuszczać, że nie był wcale chory, termometr bowiem nie wykazywał gorączki, a badanie ciała nie stwierdziły nic nienormalnego. Ale Bertrand czuł jednak, że mu coś było. Co? Może tęsknota za ojcowizną; smutek, że jej nie widzi, że nie może oddychać jej powietrzem, że nie słyszy dźwięków gaskońskich na ustach swego otoczenia.

A po zatem musiał go trapić wielki niepokój o to, co się tam działo, o ten wypadek blizki, o którym doczytał się między wierszami w ostatnim liście matki.

Ach, Marynia, o niej myślał ciągle, o niej ciągle mówił w swoich majaczeniach. Z nią się przechadzał w wyobraźni po tym ogrodzie waryatów, który stał się jego wszechświatem. Był tam w głębi kącik porosły trawą, nie większy od bilardu, który został przecie ochrzczony mianem łąki z pod Hountiny. Czego on tam nie mówił do Maryni w tym kąciku zielonym! „Pamiętasz pani? Powój w pani włosach?... A jak pani przewróciła się na mnie?... A potem tam, pod dębem, zanim pani zeszła, pamięta pani?... Przez ciebie, Maryo, jest pewien waryat, co się niekiedy rzuca na ludzi!“

A jednak, Bertrand stawał pomiędzy tym waryatem a swą fantazyjną towarzyszką, ażeby ją obronić od wielkiej niespodzianki.

Fikcyjna obecność Maryi zmuszała go do przeróżnych rzeczy. Dla niej to uczył się tak gorliwie od czasu, gdy był w Bordeaux; dla niej wysilał się, ażeby utracić swój okropny akcent. „Muszę wywabić tę plamę na surducie“, — myślał z przekonaniem, spostrzegłszy jaką niedokładność swojego kroju: „co Marynia pomyślała by sobie o mnie!“

Potem, widząc, że to wszystko było napróżno, że Maryi z nim nie było, że nigdy nie miała należeć do niego, który o niej myślał nieustannie, straszny smutek go ogarniał: wtedy zamyślał się w swoim pokoju i nie ruszał się z miejsca, a głowę miał tak pustą, jak dzwon bez serca.

Od kilku dni ogromnie trudno mu było żyć z Maryą w swoich wizyach. Ów list, w którym go proszono, ażeby się modlił za swoją rodzinę, czyliż nie oznaczał, iż Marya żyć będzie odtąd przy boku Cypryana? Musiało się na tem skończyć, to pewna, a jednak było to niesłychanie bolesnem dla Bertranda.

Dalej, z chwilą, gdy Marya zamieszka w Budzie zgodnie ze zwyczajami miejscowymi, które chcą, ażeby dziedzic zamieszkiwał w domu rodzinnym, dom ten stawał się zamkniętym dla młodszego syna, cała gmina stracona dla niego! Bo jakże mógłby w niej mieszkać? Sam widok bratowej czynił by go nieszczęśliwym.

I to właśnie było powodem jego cierpień; a chociaż nie miał gorączki, chociaż płuca miał w zupełnym porządku, zeszczuplał wskutek nocy bezsennych i dni bez marzeń.

Tego popołudnia, spostrzegłszy, że niebo przybrało dziwnie miękką barwę, piękne niebo majowe, na którem okrągłe obłoki zbierały się jak owce, wychodząc w góry, opuścił pokój i skierował się w stronę swego ulubionego zakątka, który przedstawiał dlań łąkę z pod Houtiny.

Bawił już tam z jakie pięć minut, gdy spostrzegł zbliżającego się dyrektora.

Wstał. Na widok dyrektora zawsze uczuwał pewne pomieszanie.

Dyrektor zbliżył się wprost do niego bardzo szybko, jak zwykle.

— Jakże się dziś czujesz, kochanku — zapytał.

— Daleko lepiej, panie dyrektorze.

— Lepiej, doprawdy? Dajże mi rękę! W istocie, zdaje się, iż spokój większy. A i oko czyste... Kiedy tak, to powiem ci, kochanku, przyjemną wiadomość! Matka przyjechała cię odwiedzić.

— Mama? — zawołał Bertrand, rumieniąc się z radości.

— Z inną jeszcze osobą... Czy wolisz je przyjąć tu, czy w salonie?

— O, tu, jeżeli pan dyrektor pozwoli... W ogrodzie nie ma nikogo...

— Dobrze więc, dobrze; przyślę je tutaj.

Bertrand drżał z niepokoju. Mama! Mama Kasia!...

Nareszcie przybywa go odwiedzić! Ale któż by to była ta druga osoba, o której wspomniał pan dyrektor?

— Czy mogę wyjść na spotkanie mamy, panie dyrektorze?— zapytał.

— Jeżeli chcesz.

Pobiegł.

Ale w chwili wejścia do poczekalni, spostrzegł matkę, która biegła doń sama jedna.

Marynia istotnie prosiła ją, ażeby się ukazała sama. Nie wiedząc napewno, jakie uczucia żywił dla niej Bertrand, wolała nie pokazywać się odrazu. Jeżeli uczucia te nie były zbyt odznaczające, dość będzie ją zawezwać z sąiedniego salonu. Zresztą i Kasia wolała, że się tak stanie. To tak było dobrze być choć dwie minuty sam na sam z ukochanym synem! —

Ach, gdy go spostrzegła w tym ogrodzie! Gdy poznała jego twarz pod tym małym kapeluszem filcowym, którego się nie spodziewała zobaczyć na nim!

— Mój Bertrand!

— Mama!

— Przyjechałam, widzisz!... Co, nie bardzo jesteś chory, powiedz?

— Nie, mamo; już mi daleko lepiej...

(Ciąg dalszy nastąpi).